№ 37. Warszawa, dnia 3 (15) Września 1877 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWCZA, w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Niewiasta Rzymska

studyum panny Klarysy Bader. Paryż 1877.

przez Autorkę Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

W liczbie autorek francuzkich, pierwszorzędne miejsce zajmuje dziś panna Klarysa Bader. W kilku poważnych dziełach, jakie wyszły z pod jej pióra, podziwiamy zarówno wysoki pogląd, niepospolity talent, głęboką erudycyą i niezrażoną niczem wytrwałość. Przed laty piętnastu, autorka bardzo naówczas młoda, wzięła sobie za cel, zbadać stanowisko niewiasty, w historyi różnych ludów. Zaczynając od głębokiej starożytności, pierwszą pracę poświęciła niewieście indyjskiej. Dostarczyły jej źródeł księgi *Wedy* tudzież mytyczne epopeje *Ramagana* i *Mahabarata*. Pierwsza ta próba zwróciła uwagę uczonych; akademia uwieńczyła piękną pracę; towarzystwo azyatyckie powołało autorkę do grona swego. Zachęcona takiem powodzeniem, napisała drugie, równie poważne studyum *Niewiasta Biblijna*. Dzieło to z równą przyjęto życzliwością.

Umysł panny Bader rozwijał się coraz bardziej, sąd jej dojrzewał, miłość pracy rosła w miarę podejmowanych badań. Zapragnęła wystąpić z utworem prawdziwie oryginalnym. Rozpocząwszy studya nad niewiastą grecką, a nie chcąc już poprzestać na źródłach branych z drugiej ręki, wyuczyła się języka starożytnych Helenów, odczytała w oryginale Illiadę i Odyseję, dramata Sofoklesa, Eschilesa i Eurypidesa, komedye Arystofana, sielanki Teoknyta, i z tych danych utworzyła obszerne dwutomowe dzieło. Oprócz tych znanych źródeł wydobyła z Biblioteki narodowej, starożytny rękopis o *Zwolenniczkach filozofii Pythagoresa* i po raz pierwszy w własnym przekładzie dała go poznać światu. Ustęp ten nadał, jej znakomitej pracy, tem większą wagę w oczach erudytów. Nowy wieniec akademicki słuszną był nagrodą za poniesione trudy.

W ostatniem dziele o *Niewieście Rzymskiej*, autorka nie mniejszą okazała erudycyą. Nie poprzestając już na odczytaniu mnóstwa ksiąg i rękopismów łacińskich, zwróciła uwagę na zabytki archeologii. W bogatych muzeach Luwru, badała pilnie starożytne sprzęty i ozdoby niewieście, wydobyte niedawno z pod wiekowego pyłu w Pompei i Herkulanum, napisy pomieszczone na grobowcach, stały się dla niej równie ważną skazówką w zbadaniu obyczajów rzymskiego społeczeństwa.

Ze względu na bogactwo przedmiotu, panna Bader podzieliła swoją pracę na dwie części. Tom obecnie wydany tworzący osobną całość, określa stanowisko niewiasty rzymskiej w czasach pogańskich; tom następny da nam poznać pierwsze dziewice i matrony chrześciańskie.

Nie podobna nam w szczupłych ramach sprawozdania naszego, iść w ślad za autorką, wybieramy zatem z jej znakomitej pracy, najcharakterystyczniejsze ustępy malujące społeczeństwo, które przez długi szereg wieków, trzymało świat w swej mocy, a trzymało go, nietylko siłą ramienia, ale niemniej potęgą geniuszu i surowością obyczajów. Z początkiem moralnego rozprężenia, Rzym zachwiał się w posadach, z upadkiem cnót rodzinnych upadł bezpowrotnie.

Zacznijmy od obrzędu małżeństwa. Autorka sięga do czasów legendycznych, kiedy pierwotni założyciele Rzymu, zmuszeni byli zdobywać żony ostrzem włóczni. Starożytne ludy Italii odmawiały córek w małżeństwo przybyszom nowoosiadłym po nad brzegami Tybru. Ale uroczystość religijna ściągnęła do Rzymu kilka sąsiednich plemion, między niemi najbliższych Sabinów. W chwili gdy igrzyska zajmują powszechną uwagę, Romulus powstaje z miejsca, obwija się togą purpurową. Był to znak umówiony. Rzymianie chwytają za oręż, z przeraźliwym okrzykiem wpadają między tłumy, porywają dziewczęta, rodziców i krewnych odganiają za miasto. Zdobyte żony *włócznią*. Oto pierwsze małżeństwa rzymskie.

Oderwane przemocą od swoich, dziewczęta zalewają się łzami. Król przystępuje do nich, wchodzi w umowę. Przyrzeka im że podzielą z mężami prawa obywatelstwa, mienie i opiekę nad dziećmi. Rzymianie porzucają miecz, słodką prośbą zniewalają serca swych branek. Jakoż niebawem, mówi Liwiusz „kiedy rodzice łzami i skargą podżegali okoliczne grody do pomsty, ułagodzone córki przepomniały już krzywdy swojej", dowód na to widzimy w tradycyi.

Sabinowie wpadają do Rzymu; krew zbroczyła ulice miasta. I oto niewiasty z rozwianym włosem rzucają się między walczących, wystawiają pierś własną na pociski strzał, błagają mężów i ojców, by zaniechali próżnej walki.

Zapaśnicy oniemieli na ten widok. Po chwili milczenia wodzowie występują, podają sobie ręce, zaprzysięgają wieczną wiarę i jedność. Dwa ludy stały się jednym ludem!

Wdzięczni Rzymianie otoczyli niewiasty największem poszanowaniem. Przy spotkaniu na ulicy zostawiali im zawsze stronę prawą. Biada temu, ktoby płochem słowem obraził ucho wstydliwych Sabinek. Zwolniono wreszcie żony od zatrudnień kuchennych, przędzenie wełny jedynem było ich obowiązkiem.

Przechodząc do czasów późniejszych, tak autorka opisuje obrzęd zaślubin w Rzymie.

Akt uroczysty odbywał się w domu panny młodej, w wielkiej sali *Atryum*, gdzie na ołtarzu pielęgnowano ze czcią Lary i Penaty domowe, gdzie porozwieszane były w koło ścian wizerunki z wosku, odciśnięte na obliczu zmarłych naddziadów. W tem domowem sanktuaryum, spełniano ważny obrzęd. Przewodniczył mu *Flamen*, wielki kapłan Jowisza. Dziesięciu świadków pilnowało, przepisanych prawem formalności.

Na uroczystość zaślubin, Rzymianie nie wybierali nigdy dni feralnych; do tych należały dni poświęcone na cześć Marsa, złowrogiego bożyszcza, który wyciskał tyle krwi z piersi mężów, tyle łez z oczu wdów i sierot. Wyłączano także cały miesiąc Maj, złowieszczy dla małżonek, jak niemniej, doroczny czas żałobnego obrzędu, kiedy otwierano przed miastem ciemną pieczarę zwaną *mundus* i składano w niej ofiary na cześć zmarłych. Wówczas to pochodnia Hymenu nie miała nigdy płonąć.

W dniu godowym, dom weselny strojono kwiatami i zielenią. Na ołtarzu gore płomień święty; dym kadzidła bucha pod posągami *Larów*, aby przyniosły szczęście młodej parze.

Oblubienica wchodzi do *Atryum*, przybrana w togę białą. Na togę spada tunika zwana *Regilla* obciśnięta w stanie pasem, przewiązanym na węzeł herkulesowy. Głowę jej zdobi korona z werweny, i welon płomienisty, zwany *flammeum*. Włosy dziewicy rozdzielone na trzy części, oplecione bandeletkami. Wszystko symboliczne w jej ubraniu. Biała szata, godłem jest czystości dziewiczej; ognista zasłona, takaż sama jaką noszą westalki podczas ofiar, świadczy, że matrona ma być w domu kapłanką świętego ogniska. Włosy jej rozdzielone nie grzebieniem lecz włócznią, przypominają oręż, którym Rzymianie zdobyli pierwsze małżonki.

Oblubieniec, przybrany także biało, uwieńczony koroną z kwiatów. Takież wieńce mają na głowie wszyscy goście weselni. Najwyższy, spiętrzony w kształcie wieży, nosi tak zwana *pronuba*, matrona czci nieskażonej, przewodnicząca godom. Wdowy, jak niemniej niewiasty zaślubione powtórnie, wyłączone od tej godności.

Augurowie głoszą wieszczby; w obec nich urzędnicy spisują kontrakt na tablicach. Nowożenny przystępuje wreszcie do ołtarza, określając półkole; przed niemi jeden młodzian niesie wodę i ogień, drugi koszyk napełniony ziarnem *faru* (jęczmienia). *Pronuba*, w imię Junony łączy im ręce, kapłan spełnia ofiarę; małżonkowie rzucają ziarna w płomień. Na tem kończy się obrzęd; następuje uczta godowa.

Po uczcie, gdy spożyto *mustaceę* czyli kołacz weselny, biesiadnicy powstają, w sali wrzawa i zamęt. Małżonek z udziałem towarzyszów, porywa oblubienicę z objęć ojca i matki. Udany ten gwałt przypomina porwanie Sabinek. Mrok tymczasem zapadł, gwiazda Wenery połyskuje na niebie. Wtedy orszak weselny, z pochodniami w ręku, przy dźwięku pieśni i brzmieniu fletów, przeplatanych okrzykiem *Tallasio*, prowadzi pannę młodą do mężowskiego domu. Przy boku jej stąpa dwoje pacholąt, trzeci poprzedza ją z pochodnią wystruganą z gałęzi cierniowej, a zatlonej u rodzinnego ogniska. Młody sługa ołtarza *Camillus*, niesie przed nią kosz z ziarnem faru. Ona sama, trzyma w ręku kądziel z wełną i wrzeciono z wysnutem przędziwem. Znak to, że nowe życie będzie dalszym ciągiem pracy, zaczętej w rodzicielskim progu.

W czasie pochodu, oblubieniec idący na przodzie rzuca pełne garście orzechów, na dowód że zaniechał już płochych igraszek, a zaczyna żywot poważny.

Orszak staje przed domem, przystrojony w gałęzie i draperye. Próg zasypany liśćmi, panna młoda zbliża się do drzwi, namaszcza je wonnym olejem, zdobi bandeletkami z wełny. Znak, że pracowita niewiasta wchodzi do tego domu, że napełni go słodką wonią.

Pan młody poprzedził małżonkę, wychodzi ku niej, spotykają się w progu.

— Kto ty jesteś? pyta z uśmiechem.

— Gdzie ty będziesz Kajusem, ja będę Kają, odpowiada śmiało zagadniona. Plutarch tłomaczy to w ten sposób: „Gdzie ty będziesz panem i ojcem rodziny, ja będę panią i matroną!“

Małżonek bierze pochodnię z rąk Camillusa, zanurza ją w wodzie, skrapia tą wodą towarzyszkę, poczem oboje przekraczają próg domu. W obawie żeby panna młoda nie zawadziła stopą o ten próg, co byłoby złowieszczym znakiem, *Pronuba* unosi ją od ziemi.

Wchodzą do Atryum; tu na ołtarzu płonie domowy ogień, tu czuwają *Lary* i *Penaty*, tu niewiasta przeżyje dni swoje pod opieką małżonka.

(*d. n*).

Senza l'amore!

PETRARKA.

O bez miłości — boleśnie żyć!
Okrzykiem wiosny! — witać niepodobna
Choć ona niby dziewica nadobna,
Nad czołem lśnią jej promienie jutrzenki,
Konwalje sypią się z złotej sukienki.
O! bez miłości niepodobna żyć!

* * *

A jednak serca samotne na świecie
Są — bo to życie *trzy po trzy* się plecie.
Serca te pragną — a czegóż im trzeba?
Trochę miłości i kawałka chleba,
I cichej chaty co w lip cieniu stoi,
Psa stróża co się niczego nie boi.
Potrzeba jeszcze, śpiewam to ze łzami
Anioła coby okrywał skrzydłami
Chatę — tę w której wierzą w Boga jeszcze.

Słuchaj — co mówi umarły poeta,
Dziewico! jabym zamiast złota, piór,
Anielską ubrał głowę,
W wonne kwiaty lilijowe,
Różanną wstęgę porankowych chmur,
Wplótł w twe warkocze płowe,
I uśmiech dałbym w usta koralowe.
Życie to piosnka — co przez łzy się śmieje,
Co kocha i wierzy i żywi nadzieję.

Miron.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

LIST XIV.

Adam do Jerzego.

Ongród, d. 20 Kwietnia

Dawno już nie pisałem do ciebie, Jerzy, a i ty milczysz także stary i *dyskretny* mój przyjacielu.

Dwa miesiące blizko zeszło mi na ustawicznej, niczem nieprzerwanej i mogę śmiało powiedzieć że ciężkiej pracy. Właściwy grunt działań moich, bywa zwykle na prowincyach a i tu był także przed przybyciem mojem, gruntem niemal dziewiczym. Z obowiązku urzędu i powołania miałem więc i mam jeszcze wiele do zrobienia. Nie skarżę się na to, owszem, ten natłok zajęć jest mi może więcej niż kiedy potrzebnym...

Wiesz zapewne od swojej żony że od kilku tygodni przestałem bywać u Iwickich. Człowiek ułomnym jest i wola jego słabą. Byłem tam znowu wczoraj i to — najniespodzianiej dla samego siebie.

Trudno mi będzie trochę wytłomaczyć ci powód który mię tam znowu sprowadził. Miłość własna moja cierpieć będzie nad tem zeznaniem ale usuwam ją na stronę. Ty zresztą, Jerzy, który sam nie masz się za świętego i nie wymagasz od bliźnich swych aby byli świętymi, wiesz o tem że człowiek każdy może uczynić to tylko co może.

Otóż dnie wczorajszy i zawczorajszy były mi dniami trudnemi do przeżycia. Spotkało mię parę ważnych niepowodzeń z których pierwszem była śmierć jednego z pacyentów moich, człowieka znanego mi dobrze i zacnego ojca licznej rodziny. Był to wprawdzie wypadek dość pospolity w życiu i praktyce każdego lekarza. Wiem że powszechnem jest mniemanie jakoby z wypadkami podobnemi, ludzie nauki oswajają się tak dalece, iż nie czynią one na nich żadnego wrażenia. Ale ty, Jerzy, gadaninom tym nie wierz. Jeżeli już kogo w podobnych wypadkach nie obchodzi dobro bliźniego, obchodzi go zawsze miłość własna i opinia ludzka. Kto nie dba o własną sławę, tego znów boli i trwoży niedostateczność nauki. Co do mnie, doświadczam zwykle wszystkich tych uczuć razem.

Tego samego dnia wieczorem, zabrałem się do pisania dalszego ciągu dzieła dawno rozpoczętego i nagle spostrzegłem, że braknie mi pewnego materyału statystycznego a to nie w chwilowy wcale sposób ale całkiem stanowczy; wiedziałem bowiem że nie istnieje on nigdzie i że zatem dostać go niepodobna. Wiesz o tem że jeżeli statystyka, na całym świecie pierwsze zaledwie kroki stawiać zaczyna, u nas znajduje się ona jeszcze w pieluchach, kto wie, czy urodziła się już nawet na dobre? Nie znając rzeczy tej zblizka, trudno dostatecznie ocenić jakie olbrzymie przeszkody brak ten cyfr i faktów, stawia naukowym badaniom. Sprawia on że na wielu ich punktach tracimy cały grunt z pod stóp naszych i zawisamy w powietrzu. Ja jednak który nie znoszę sam napowietrznych sytuacyi ani bym mógł sumiennie wprowadzać w nie innych, rzuciłem pióro i dokończenie pisma, które przydałoby się może na coś ludziom i mnie także, pozostawiłem oddalonym zapewne, bo pomyślniejszym chyba czasom.

Do dwóch tych faktów które mają prawo nazywać się faktami, dołączyć należy rój fakcików drobnych ale nie ponętnej wcale natury. Zatargi z oficyalnemi sferami które żądają niby po nas czegoś, aby czynnościom naszym wnet i ustawicznie na wspak stawać, zazdrostki i intryżki koleżeńskie, rażącą obojętność dla spraw ogólnych ludzi którzy u steru ich stać powinni; wszystko to są rzeczy powszednie, maluczkie, ściśle przywiązane do miejsca i czasu ale bynajmniej nie uszczęśliwiające. Być może zresztą iż w tych czasach czulszy byłem niż zwykle na szpilki życia, siły moje rozdwoiły się. Miałem do czynienia nietylko z trudnościami obowiązku i niedołężnościami otoczenia mego ale i z sobą samym.

Wczoraj przed wieczorem odbywało się jedno z posiedzeń naszego Towarzystwa lekarskiego. Nowa to jest rzecz tutaj i jak wszystkie nowe rzeczy, na prowincyach szczególniej, okropnie kulawa. Szanowni koledzy przychodzą na posiedzenia albo nie przychodzą, przynoszą, na nie coś godnego uwagi albo nie przynoszą. Jedni rozmawiają z trochą zajęcia o rzeczach tyczących się nauki, inni poziewają, inni jeszcze przynoszą z sobą humor zgryźli-

wy i z góry powzięte postanowienie rzucania na prawo i lewo nieuzasadnionych zaprzeczeń i niedowierzających uśmiechów. Stara bajka ale niewesoła. Towarzystwo to powstało z mojej inicyatywy. Jestem pewny że przyniesie kiedyś znaczne pożytki ale teraz jeszcze jedyną korzyścią jaką odnieść zeń mogą ludzie dobrej woli, jest zaprawienie się w cierpliwości.

Wczoraj zebrało się nas dziesięciu czy dwunastu. Ktoś coś przeczytał. Mówiliśmy o tem i owem. Życia w tem wszystkiem a po prawdzie i sensu było niewiele. Siedziałem przy oknie otwartem na ogród i myślałem o tem, jacy też ludzie bywają po większej części niedołężni i leniwi. Doświadczyłem trochy zniechęcenia. Zapytywałem siebie: czy ja zrobię tu kiedy cokolwiek porządnego albo też może wszystko to na nic się nie przyda? A jeżeli zrobić mogę to jakim sposobem? Dajcie mi jaką machinę elektryczną któraby umysłami ludzkiemi tak wstrząsała jak stos Volty wstrząsa nerwami!

W ogrodzie zielono było i ciepło. Owocowe drzewa osypane są tam teraz białym kwiatem.

Pomiędzy zielonością mignął mi w oczach pąsowy kolor. W głębi ogrodu siedziała na ławce pani Iwicka. Znajdował się tam też obok niej i pan Iwicki. Były i dzieci.

Myślałem wtedy że człowiekowi temu lepiej było, spokojniej jakoś i weselej siedzieć tam jak mnie tu. Może i on wprawdzie nieraz doświadcza także różnej biedy ze swemi handlowemi sprawami i rachunkami, ale po tych biedach znajduje się tam gdzie się znajduje. Ma stronę życia szarą i jasną. Ma troski i ma pociechy, trudy i spoczynek. Dawniej nie myślałem nigdy w ten sposób o żadnych małżonkach żadnych niewiast ale teraz, wiem już, mój Jerzy, jak wyglądają Feniksy!

Wkrótce, poszedł sobie. Nie wiem gdzie podziały się dzieci. Została samą i czytała książkę. Siedziała w głębi ogrodu, tak daleko że twarzy jej dojrzeć nie mogłem. Gdybym mógł, możebym był tam nie poszedł. Przyszła taka chwila że iść musiałem. Rozumiesz mię Jerzy? *Musiałem.* Nie tłomaczę się przed tobą ani przed sobą. Zrozumieją mię wszyscy którzy choć raz w życiu zwyciężyć nie mogli. Był to mus taki jak ten który spragnionego prowadzi do zdroju...

Wszedłem przez furtkę prowadzącą z ulicy do ogrodu a znajdującą się tuż naprzeciw mego mieszkania. Zobaczyła mię zdaleka, wstała i szła powoli na moje spotkanie. Powitaliśmy się milczącym uściskiem ręki. Nie zapytała mię dla czego tak długo u niej nie byłem. Nie dostrzegłem w niej ani rozgniewania albo zażalenia ani radości. Nie spodziewałem się też wcale aby doświadczała z mego powodu któregokolwiek z tych uczuć. Bywałem chwilowym gościem w jej domu, jestem prostym przechodniem w jej życiu, oto wszystko. Jednak, nie jest zupełnie taką jak była. Zmieniła się przez te kilka tygodni w sposób uderzający. Cera jej biała wprzódy jest teraz bladą. Twarz jej schudła znacznie a przez to oczy wydają się jeszcze większemi niż były. W ruchach jej i wejrzeniu czuć jakieś zmęczenie, — jakąś nieprzezwyciężoną słabość.

Dla czego ona tak się zmieniła przez czas mej nieobecności? Wielki Boże! jakież brzydkie radości kołacą czasem do piersi ludzkich! Radości też to bez istotnej racyi bytu, bo wszak nic i nikt nie powiedział mi dla czego ona tak się zmieniła!

Zapytałem ją czy nie była słabą? Odpowiedziała przecząco.

— Nie choruję nigdy, rzekła z uśmiechem.

— Godzien zazdrości los, odpowiedziałem. Nie jestem tak szczęśliwym. W ostatnich dniach byłem ciężko chorym.

— Dla czego pan to mówisz? zapytała ze zdziwieniem, zbyt ogólnie znanym i zbyt często widywanym pan jesteś aby o chorobie pana, ciężkiej w dodatku, miasto nasze mogło nie wiedzieć.

— Miasto, odpowiedziałem, wiedzieć może o takich tylko chorobach które leczą się za pomocą recept doktorskich i aptecznych preparatów. Istnieją choroby na które człowiek sam sobie tylko powinien być lekarzem a często nie może!

Usiadła na ogrodowej ławce i mnie obok siebie miejsce wskazała.

— Często nie może.... powtórzyła zwolna i w zamyśleniu, ze wzrokiem patrzącym gdzieś daleko. Nagle zwróciła spojrzenie na mnie. Widziałem w niem ciepłą, trwożną troskliwość.

— Wiem, rzekła, że miałeś pan w ostatnich czasach trochę zmartwień i niepowodzeń. Mówią o tem. Sfery oficyalne stawią panu trudności w zaprowadzeniu reform które byłyby w istocie zbawieniem dla naszego miasta, Towarzystwo lekarskie nie rozwija się pomyślnie jakby się tego spodziewać można było...

— Następstwem zaś tego wszystkiego, wtrąciłem, było dla mnie w ostatnich dniach zniechęcenie i zwątpienie które bolą więcej jak wszystkie bóle poskramiane zazwyczaj aptecznemi przyrządami.

— Zniechęcenie i zwątpienie! zawołała. Tak; rozumiem że doświadczać ich każdy musi chwilami. Ale trwać one długo nie mogą... pan ich długo doświadczać nie możesz? nieprawdaż?

Patrzała na mnie swemi wielkiemi oczami w których był teraz niepokój i troska. Dobrą jest więc nie chce aby ktokolwiek cierpiał. Ceni wysoko wiedzę, więc pragnie aby pracownicy jej byli rycerzami niedostępnymi bliźnie żadnej, sans peur ni répreche!

Powiedziałem jej że stan taki w istocie trwać długo nie może, bo sparaliżowałby całą życiową działalność człowieka, że ja stanu takiego doświadczam od czasu do czasu w skutek zapewne popędliwości charakteru mego, który mi sprawia pragnienia i niecierpliwości sprzeczne z porządkiem spraw ludzkich.

— Przyszedłem tu dziś dla tego, rzekłem, abyś mi pani dopomogła do prędszego przebycia paroksyzmu.

— Cóż ja mogę? wymówiła po chwili zwolna. Myślę że najlepsze lekarstwo przynoszą panu ci, którzy codziennie napełniają dom pana, wołając: ratunku!

Słowami temi dotknęła najdrażliwszej struny moich zgryzot.

— Ratunku! rzekłem, gdybyż ratunek ten był zawsze w mojej mocy. Gdyby nauka była cudowną skarbnicą do której zapukaćby tylko trzeba aby módz wydobyć z niej leki na wszystkie cierpienia, gdyby była ona już przynajmniej tem, czem kiedyś będzie z pewnością, to jest gmachem doskonale w sobie samym harmonijnym i ukończonym: księgą do ostatniej karty zapisaną a wyświetlającą większość jeżeli już nie całość tajemnic przyrody i życia. Niestety! nowicyusze tylko albo niedouki wierzyć mogą w teraźniejszą jej nieomylność. My zaś doświadczeni wyrobnicy wiedzy, taić przed sobą nie możemy że przed nami, w odległościach wzrokowi naszemu niedostępnych, rozciągają się dziewicze jeszcze przestrzenie prawd niepoznanych i nierozwiązanych zagadek. Tajemnica! oto wyraz o który co krok prawie rozbijają się wysilenia umysłów naszych!

— Cóż dziwnego? przerwała z żywością, oddawnaż z myśli ludzkiej zdjętemi zostały okowy które przez długie wieki lot jej krępowały? Oddawnaż myśl ta zdobyła sobie dzielne, pomocnicze narzędzia które potęgując władze wzroku i słuchu, pozwoliły człowiekowi dojrzeć to, co było wprzódy niedojrzalne i dosłyszeć niedosłyszalne?

Jak ona wie o wszystkiem i jak wszystko rozumie! Co za roskosz rozmawiać w ten sposób nie z płytkim, światowym człowiekiem, nie z zazdrośnym potajemnie kolegą ale z kobietą szczerą, wykształconą i taką piękną w zapale swym dla rzeczy ważnych!

— Ma pani słuszność, rzekłem. Nauka jest na świecie rzeczą względnie nową i pociesza nas, którzy dla przyszłości jej więcej składamy życzeń niż dla naszej własnej. Teraźniejszość jednak nie przestaje przez to być kolczatą.

Wierzę, iż wydźwiganie z otchłani skarbów ukrytych i ściąganie na ziemię świateł kryjących się w wysokościach, pozostanie na zawsze najżywszem pożądaniem i najwyższem szczęściem dla pewnej części ludzkości, dla tej jej części która składa się z Kolumbów ciekawych nówych dróg i światów i z Prometeuszów rozkochanych w wysokich blaskach prawdy i piękna...

Nie mówiła o niczem czegobym sam nie wiedział, nie mówił sobie sto razy w życiu. Jednak ze słów jej spływała we mnie dziwna pociecha.

Dzień kończył się. Słońce już nawet zaszło. W ogrodzie było mnóstwo woni od drzew kwitnących.

Przez otwarte okna górnego piętra domu wyglądały od chwili do chwili śmiejące się głowy dzieci i przesyłały matce siedzącej w głębi ogrodu przyjazne znaki i uśmiechy. Na dole domu, tam zapewne gdzie położone są gospodarskie pokoje, słychać było wesoły gwar służby, krzątającej się około wielkiego ogniska. Kobiecy głos jakiś cienki i piskliwy, zawodził ładną przecież śpiewkę ludową.

W tej chwili Natalka wychyliła się do połowy prawie przez jedno z okien górnego piętra.

— Mateczko! zawołała, czy mogę sama zadysponować wieczerzę?

— Zadysponuj ją, moje dziecko, lekko podnosząc głos odpowiedziała matka. Dziewczynka klasnęła w dłonie i zniknęła z okna, przez które wybiegł po chwili na ogród, rozlegający się we wnętrzu mieszkania, wybuch głośnego jej śmiechu. Wesoły odgłos ten, przykry był jakoś dla mnie w chwili gdy patrzałem na twarz siedzącej obok mnie kobiety. Zapytywałem siebie nieustannie: zkąd pochodzi wyraz utajonego cierpienia, który przyoblekał teraz twarz tę a którego wprzódy nigdy w niej niedostrzegłem? Spokojna i wierząca jak dawniej, dla czego jest ona teraz smutną? dla czego? dla czego? Ty, mój Jerzy, lepiej zapewne ode mnie pojmujesz, te palące ciekawości które niewiedzieć zkąd zjawiają się czasem w głowie człowieka. Jesteś w tym względzie doświadczeńszym ode mnie. Jam pierwszy raz w życiu dowiedział się że one istnieć mogą...

Przed kilku tygodniami, kiedy ostatni raz byłem gościem w jej domu, siedziała ona na kanapie, owinięta jakiemś okryciem z żywą barwą a ja stałem naprzeciw niej, przy ogniu komina. Wróciliśmy byli ze wspólnie odbytych odwiedzin u jakiegoś chorego. Rozmowa nasza była całkiem poważna, wcale nie tycząca się bezpośrednio ani mnie ani jej, a jednak patrząc na nią, pomyślałem sobie nagle: jakby też kobieta ta którą widywałem w różnych chwilach codziennego jej życia, jakby też wyglądała ona w objęciu człowieka któryby ją strasznie kochał... Wyobraźnia moja malowała mi twarz jej takiemi barwami jakich nie miewała ona nigdy w rzeczywistości... Miałażby nigdy nie doświadczyć tego, o czem po raz pierwszy myślałem że może życiu dać chwile raju? Miałem wtedy moment wielkiego cierpienia. Powie-

działa że jest zupełnie szczęśliwą... Postanowiłem widywać ją najrzadziej jak będzie można albo i nie widywać wcale.

Teraz, w ogrodzie, gdy siedziała obok mnie blada i czemś niepojętem dla mnie znużona, wróciły mi te pytania, te myśli, te ciekawości których żadną siłą woli zmusić do milczenia nie mogłem. Widziałem już ją był troskliwą, rozumną matką i panią ludnego i wpływowego w społeczeństwie domu, samotną i otoczoną ludźmi, spokojną i uniesioną, wesołą i smutną, jaką byłaby ona gdyby ogarnęła ją łuna namiętności, gdyby blade czoło te zrumieniło się pod pocałunkami, gdyby wyniosła kibić ta nagięła się do gorącej i stęsknionej za nią piersi? Choć na mgnienie oka... rozumiesz Jerzy? choć na mgnienie oka! Powinno przecież być mi przebaczonem jeżeli na czas jednego odetchnienia zapragnąłem dla siebie tego, czego inni ludzie używają tyle... Byliśmy we dwoje tylko, wśród zmroku, tak blisko siebie, że dotykał mię skraj szkarłatnego jej płaszcza... Mogłem był mówić, chciałem mówić. Zapomniałbym był może o wszystkiem co nas rozłączało, o wszystkich na świecie zasadach i obowiązkach i mówiłbym, ale nie śmiałem. Ta kobieta jest tak prawdziwie cnotliwą, otacza ją atmosfera tak istotnej czystości, że są w mowie ludzkiej słowa których do niej wymówić niepodobna.

Mówiła znowu do mnie, nie powtórzę ci już o czem. Ale tak jak mówiła ja nieraz myślałem. W ustach jej odnajdywałem pociechy które mię były odbiegły na chwilę. Głos jej przytłumiony nieco, jak bywa zwykle gdy mówi o tem co dla niej jest święte, kołysał głowę moją nakształt pieśni tej, którą matki usypiają spłakane swe dzieci. W kobiecie... nie! w takiej tylko kobiecie jak ona, spoczywa głęboki zmysł macierzyństwa, uczący ją nietylko uspokajać płacz dziecka, ale zaklinać burze podnoszące się w piersiach dojrzałego mężczyzny.

(d. c. n).

MASZKARY.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach, z życia ludu wiejskiego ułożony.

(Dalszy ciąg).

SCENA IV.

Zosia w zamyśleniu podchodzi ku przodowi sceny. (po chwili). Myśli moich nie mogę skupić... Nie mogę pojąć sama siebie. Tu ojciec tak zacny... powiedział że nie godzi się. Ach! Boże mój Boże! (załamuje ręce z boleścią).

SCENA V.

Zosia i Władysław.

Władysław wchodzi szybko, ubrany po podróżnemu z torbeczką i okryciem w ręku spostrzegając Zosię mówi:

Władysław. Moja dzieweczko czy gospodarz...

Zosia (zwracając się z wybuchem największej radości). Ach! Władysław!

Władysław. Zosiu, to ty?

Zosia. Jakaż miła niespodzianka!

Władysław. Cóż ten strój znaczy na tobie!

Zosia. Później cię objaśnię, bo muszę pospieszyć do kościoła, ale cóż twój przyjazd pospieszyło?

Władysław. W nowej siedzibie choć przy zajęciu gospodarczem, tęskniłem za tobą moja droga. Pospieszyłem więc do rodziców; parę mil co nas rozdzielały zdawały mi się być drogą bez końca.

Zosia. Jakżeś dobry mój Władysławie.

Władysław. Możesz więc sobie wyobrazić jak się zmartwiłem, gdy zamiast twojej buzi przyłożonej do szyby w oknie, witającej mnie z uśmiechem radości, ujrzałem zmarszczoną twarz wiecznie gderającej gospodyni. Zawiadomienie zaś żeś pojechała do ojca i nieprędko wrócisz, zdziwiło mnie niewymownie.

Zosia. Sama mi matka myśl nawiedzenia ojca podsunęła.

Władysław. Sama matka? czyżby cię chciała z domu usunąć?

Zosia. Ach! to przypuszczenie!...

Władysław. Uspokój się moja droga, wszystko zniosę tylko nie rozłącznie z tobą.

Zosia. Tyle przeszkód?

Władysław. Matce natychmiast wyjawiłem naszą tajemnicę...

Zosia. I cóż?

Władysław. Nie trwóż się, znała już nasze przywiązanie.

Zosia. Ale cóż ci powiedziała?

Władysław. Łatwo się domyślisz, było tam wiele rad i uwag zgodnych z utartą drogą po jakiej świat kroczy, przecierając zaspane oczy, ale sprzecznych z pragnieniem mego serca. Gdym więc oświadczył, że zamiar nazwania cię moją drogą połową życia jest stanowczy i niczem niewzruszony, przyrzekła rozmówić się z ojcem, który niczego się niedomyśla i poprzeć moje życzenie.

Zosia. Kochana moja i droga opiekunka, ale...

Władysław. Czy wątpisz?

Zosia. Ale i mój ojciec poczciwy...

Władysław (z wielkiem zadziwieniem). Twój ojciec?

Zosia. Powiada że małżeństwo nasze zakrwawiłoby serca twoich rodziców i jego.

Władysław. Czy mówiłaś z nim?

Zosia. Jeszcze nie miałam odwagi, a teraz zupełnie ją straciłam.

Władysław. To ja się z nim rozmówię, bądź spokojna, wiem o co mu idzie, ale przekonam go, że zyska we mnie nietylko zięcia ale i syna.

Zosia. Jakże cię poważam mój Władysławie...

Władysław. Czy ojciec jest w domu?

Zosia. Nie ma go, poszedł do kościoła.

Władysław. To szkoda, ale po nabożeństwie zaraz...

Zosia. Wstrzymaj się jeszcze przez dzień dzisiejszy, bo mogłoby to popsuć wielką tutejszą uroczystość.

Władysław. Niech i tak będzie, a teraz powiedz mi...

(słychać w oddaleniu dzwonienie z wieży kościelnej).

Zosia. Otóż nabożeństwo się rozpoczyna, muszę spieszyć do kościoła...

Władysław. Tylko chwilkę...

Zosia (biegnąc ku wystawce domu). Nie mogę, ale przejdź przez sad około pasieki i poczekaj przy drodze, to razem pójdziemy do kościoła. Ja zaraz pospieszę.... (wchodzi do domu, Władysław przechodzi przez furtkę ogrodową).

SCENA VI.

Janek i Kasia.

Janek (wchodzi z prawej strony staranniej ubrany). To pan Władysław, ale też zmiata jakby uciekał.

(wychodzi Kasia z domu także świątecznie ubrana).

Janek. Dobrze żeś na mnie zaczekała, pójdziemy razem do kościoła.

Kasia. Mój śliczny, na ciebiebym właśnie czekała.

Janek (tajemniczo). Był tu pan Władysław, widziałem go.

Kasia (również tajemniczo). Cicho, co to u ciebie za oczy ciekawe.

Janek. Jak co w nie wleci to trudno — muszą widzieć.

Kasia (bierze się ręką pod brodę). Co się to oni namartwili.

Janek. I cóż mówili z sobą?

Kasia. Ej! podsłuchiwać nie lubię, alem stanęła przy drzwiach, com je zamknąć miała, aż tu słyszę ktoś rozmawia, spojrzę, a to oni...

Janek. Cóż bardzo się radowali?

Kasia. Jużcić zrazu radowali się, ale potem strasznie się frasowali.

Janek. Nie gadaj!

Kasia. Tak, tak, boją się na przepaść.

Janek. W karczmie ludzi jak mrowia. Nie lubię ja z uszami zawadzać ludziom, ale gdzie się zbliżę to wszędzie szepczą o Grzędzie i Zosi, a wszystko ze swatami.

Kasia. To tak na bogactwo naszego gospodarza mają wielkie oczy i żeby nie pan Władysław...

Janek. O tak, to wielka przeszkoda. Takich kawalerów, jak ja i on...

Kasia. Ej (odchodzi ku furtce).

Janek. Czekajże pójdziemy razem.

Kasia. Przecieżeś niespętany — (wychodzą).

SCENA VII.

Marcinowa i Walek.

Marcinowa i syn jej Walek. Ubrani oboje świątecznie, Walek niezgrabny w poruszeniach — wychodzą drogą.

Walek (wskazując na wystawkę). Tu Zosię widziałem już w naszem ubraniu.

(oblizuje się i smakuje kręcąc głową).

Marcinowa. I czegóż się oblizujesz, jakbyś przy misce siedział?

Walek. A bo mi się Zośka upodobała.

Marcinowa (wzdychając). Już co urodziwa to urodziwa.

Walek. Galanta dziewucha (smakuje językiem).

Marcinowa. Dałbyś pokój z tem cmokaniem, dziewusze jak Zośka to trzeba nadskoczyć, przypochlebić się...

Walek. Już mnie nie nauczycie wedle dziewuch zacharować.

Marcinowa. Jak wedle jakich. Zośka nie taka jak inne.

Walek. Zawdy dziewucha i juścić.

Marcinowa (zajrzawszy przez okna w domu). Nie ma nikogo w izbie, widać że już stary Grzęda poszedł do kościoła.

Walek. A niech ta i poszedł, dla mnie Zośka wszystko znaczy, nie stary Grzęda.

Marcinowa. Tak gadasz jak maluśkie dziecko, a ja cię przecie wychowała w rozumie i uczciwości.

Walek. To też ja w uczciwości chcę Zośkę pojąć za żonę.

Marcinowa. Ej! a czy zechce?

Walek. Ba! Albo mi to brak urody czy zgrabności? Ho — ho!

Marcinowa. No jużcić Bóg ci tego nie poskąpił, ale z inną mniej by było termedyi.

Walek. Termedyi? To tylko w ubóstwie w zalotach są termedye, ale w naszym stanie dziewuchom ledwie oczy za mną nie wyskoczą.

Marcinowa. Ej! wolałabym jednak żebyś se upatrzył inną.

Walek. A którą, powiedzcie, bo mi przy Zośce Grzędziance wszystkie wyszły z pamięci.

Marcinowa. Albo to ich mało we wsi. Wycykalanka to gracka dziewucha i wiano ma i...

Walek (z uśmiechem zadowolenia). A! Wycykalanka, to rychtyk dla mnie (uśmiecha się i zasłania usta ręką) — równie jednak Zośka lepiej mi się upodobała.

Marcinowa. Na lepsze upodobanie nie bacz i nawróć się do Wycykalanki. Żebyś se ją pojął za żonę...

Walek. A pojąłbym, tylko ma wielkie zęby, i jak się śmieje to jej na wierzch wyłażą jakby niemi ugryźć chciała.

Marcinowa (wzdychając). Moje dziecko, wielkie zęby w kochaniu nie wadzą, bo niepotrzebują przyo dziewku, a jak są zdrowe ręce i ochota do pracy...

Walek (z gniewem). Już tylko po próżnicy Wycykalanki nie przechwalajcie, bo ja tylko Zośkę mam na myśli i juścić — (siada na ławce pod lipą i oparty łokciem na baryerze bawi się podnoszeniem nóg i składaniem ich ku sobie).

Marcinowa. Ambrozianka to równie galanta dziewucha...

Walek (majtając nogami). Ani gadania, urodziwa dziewucha, ale cienka w pasie jak osa.

Marcinowa. I Zośka cienka w pasie i taka delikatna, że zdaje się coby ją wiatr porwał.

Walek (zrywając się z wielkim gniewem). Teraz mi Zośkę chcecie obrzydzić, wy zawsze tacy, aby mi na despekt robić.

Marcinowa (chce go pogłaskać po twarzy). Cicho Waluniu, cicho...

Walek (odtrąca jej rękę). Wy gadajcie swoje a ja swoje zrobię.

Marcinowa (wyciąga rękę do pogłaskania). Walusiu, moje dziecko jedyne, upamiętaj się...

Walek (odsuwa rękę matki). Ej, niezawadzajcie mi ze swoją ręką, kiedy się gniewam.

Marcinowa. Możesz zachorować.

Walek. To bez was wszystko, bo ja nie lubię w niczem przeciwności a wy jak na złość uwzięliście się na mnie.

Marcinowa. No — no, Walusiu, już tylko Zosię będę miała na pamięci.

Walek. To pamiętajcie, z wami różnej sztuki trzeba używać (śmieje się z zadowoleniem siadając na stole i machając nogą).

Marcinowa (do siebie z czułością). Mam tylko tego jednego robaka, to serce radeby mu nieba przychylić — (głośno). Ino Walusiu... ty masz rozum...

Walek. Ba!

Marcinowa. Masz we wszystkiem dobre rozpoznanie...

Walek. Jużeście mi to nieraz mówili.

Marcinowa. To wprzódy Zośce przypatrz się dobrze...

Walek. Jużem się jej tyle napatrzył, co mi ledwo oczy z głowy nie wylazły.

Marcinowa. Ale Zośce trzeba patrzeć nie w oczy, ino na ręce...

Walek. Na ręce? Co wy gadacie?

Marcinowa. Juścić na ręce, bo oczy dla upodoby, a ręce do pracy.

Walek. To też ja ją pojmę z upodoby.

Marcinowa Ale widzisz...

Walek (wstając). No, no; matko niewydziwiajcie po próżnicy, i chodźmy lepiej do kościoła, a na maszkarach to tak na nią będę smyrgać spojrzeniem, że się aż sami przestraszycie (idzie w głąb sceny matka za nim).

SCENA VIII.

Gajda, Barbara, Bruzda i Michał — wychodzą drogą z prawej strony; najpierw Gajda za niem Barbara z Bruzdą rozmawiając a w końcu Michał — Gajda i Barbara ubrani po wiejsku — Dwaj drudzy po miejsku — Bruzda w surducie na jeden guzik u dołu zapięty, z kołnierzem od surduta daleko od szyi odstającym i w czapce z daszkiem na tył głowy nasuniętej — Michał ubrany strojnie ze starannością w poruszeniach sztywny jakby się bał aby ubrania nie zmiętosił.

Gajda (zatrzymując się patrzy za odchodzącą Marcinową z synem). To Marcinowa ze swoim synalem...

Bruzda Mówiąc krótko...

Barbara (mówi prędko). Czekajta, Marcinowej z Walkiem nie ma się co lękać, bo to taki niezdarek to...

Michał. Akceptuję ciotko.

Barbara. Dajno pokój, nie przeszkadzaj...

Bruzda. Mówiąc krótko...

Barbara. Czekajcie bracie, to ja lepiej przełożę, bo Marcinowę i Walka znam na wylot jak swój palec...

Gajda. Juścić to...

Barbara. Czekaj no, przecie mnie przypuść do słowa...

Gajda (przekręcając czapkę na lewe ucho). Ej!

Barbara (odsuwa go ręką). Marcinowa wiem żeby rada zmówić Zośkę dla swego synka, ale ona w dworskim obyczaju wychowana, to patrzy też i na edukacyą...

Michał. Akceptuję ciotko.

Barbara. Michał nasz to co innego, ma inny szyk w sobie...

Michał. Akceptuję ciotko, akceptuję...

Bruzda. Krótko mówiąc, po nabożeństwie...

Barbara. Nie bracie, nie po nabożeństwie...

Gajda (przekręcając czapkę na drugie ucho). Ej!

Barbara. Tylko po obiedzie pójdę w pole, bo Grzęda zawsze co święto obchodzi połanki, to niby niechcący spotkam się z nim i wszystko przełożę jak wypada...

Michał. Akceptuję, akceptuję.

Bruzda. Krótko mówiąc...

Barbara (odpycha go). Że Michał ma edukacyą, że fortuna przed nim, że wyjdzie na woźnego...

Michał. Oponuję ciotko, bo...

Barbara. Co powiadasz?

Michał. Bo już jestem woźnym przy sądzie pokoju w powiecie...

Barbara. Chciałam też powiedzieć, że wyjdziesz na sędziego...

Michał (uśmiecha się z zadowoleniem). Akceptuję.

Bruzda. Krótko mówiąc, trzeba to wszystko dobrze wymiarkować...

Gajda. Żeby potem nie było wstydu, bo...

Barbara. Ja tam krótko mówić nie lubię, a do wstydu nie popuszczę nikogo, bo mam swój rozum...

Gajda (przekręcając czapkę). Ej!

Barbara. Tak, mam swój rozum, i wiem czego wy nie wiecie, w czem największa przeszkoda dla naszego Michałka (zaciska usta — chwila milczenia, wszyscy na nią spoglądają z ciekawością).

Gajda (przekręcając czapkę). Ej! To i nie gadaj, bo i do kościoła czas już wielki.

Michał (wstrzymując Gajdę). Apeluję do ciotki, niech powiedzą co wiedzą.

Bruzda. To po kościele, bo krótko mówiąc...

Gajda. Te chodźwa...

Michał. Apeluję do ciotki...

Barbara (która dotąd pomrukiwała). Niech mój gada, niech gada, kiedy taki rozgadliwy, przecie to mój, to ma niby swój rozum.

Gajda. Ej! Chodźwa ot...

Bruzda. Tak chodźwa (dzwony z kościoła odzywają się) — ot już procesya wyszła z kościoła.

Barbara (zatrzymując obydwóch w głębi). Poczekajcie, otóż największa przeszkoda to pan Władysław.

Gajda (przekręcając czapkę). Ej! to wymysł babski.

Barbara. Nie wymysł, bo się z Zosią kochają, mówili mi to dworacy.

Michał (poruszając się niespokojnie). To trzeba śledztwo przeprowadzić i jeżeli..

Barbara. To prawda, szczera prawda.

Bruzda. Takie kochanie to fraszka.

Michał (z trwogą). Oponuję ojcze, oponuję, bo między dwojgiem trzy kochania...

Barbara. No juścić trochę wadzi...

Michał (jakby z płaczem). Trochę...

Gajda. Ej! chodźwa bracie (wychodzą rozmawiając z sobą).

Barbara (posuwa się za niemi do Michała). Ja to wszystko wymiarkuję, a rąk nie należy opuszczać. Zośka już do dworu nie wróci, bo Socha mówił...

(słychać śpiew przy procesyi z dzwonkami w oddaleniu — przechodzą ludzie drogą spiesząc na nabożeństwo.

Kortyna zapada.

Koniec Aktu pierwszego.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu

Sezon londyński. — Uroczystość w Coventry. — Skandaliczne wydawnictwo. — Mieszkania dla biednych wyrobników z funduszu Peabody'ego. — Wyrób i handel obrączkami ślubnemi. — Fabryki maszyn do szycia. — Zjazdy duchowieństwa protestanckiego. — Stowarzyszenie odrodzenia złodziei przez pracę. — Meetingi w kwestyi przyznania kobietom prawa głosowania. — *Shakespeare'a Memorial.* — Wystawa pamiątek i konkurs na pomnik i posąg Byrona. — Wystawy malarstwa. — Ouida i jej powieści włoskie.

(Dalszy ciąg).

Gdy nareszcie nieszczęśni ci złoczyńcy stawili się w komitecie Stowarzyszenia, serce się ściskało słuchając smutnych dziejów ich życia.

Ani jeden nie umiał czytać ani pisać, żaden nie miał pojęcia o jakiemś rzemiośle i można ich tylko było użyć do rąbania drzewa. powoli jednak zaczynają wkładać się do innej pracy.

W końcu miesiąca czerwca, poruszono tu znowu bardzo silnie kwestyę przyznania kobietom prawa głosowania na wyborach; stronnictwo popierające te roszczenia było bardzo liczne, a choć i tym razem wniosek upadł; jednak kobiety pocieszają się tem iż sama gwałtowność i miotanie się przeciwników, dowodzi słuszności ich domagań które prędzej czy później zostaną spełnione. Już to, co prawda, w tym razie przekroczono niezmiernie granice umiarkowania parlamentarnego, zdeptano wszelkie względy grzeczności, ale i kobiety nie umiały zachować zimnej krwi niezbędnej w obronie tak delikatnej sprawy, i na mityngu zwołanym w celu naradzenia się o formie billu mającego być przedstawionym w Parlamencie, nie dość panowały nad sobą i zanadto się unosiły. Słuchacze płci męzkiej przyklaskiwali zapałowi, ale większość wracała z przekonaniem: że nie nadszedł jeszcze czas emancypacyi kobiet na tej drodze. *Mężne* te niewiasty nie przejęły się tak wyłącznie żądzą przekonania aby zapomnieć o chęci podobania się; to też piękne stroje, kwiaty i wstążki, zaliczyły się także do argumentów przekonywających. Wypowiedziano na tym mityngu wiele gorzkich prawd i przymówek tak do kobiet jak do mężczyzn, a strażnicy pilnujący porządku w sali, nie raz byli w obawie czy nie przyjdzie im rozbrajać i uspokajać zbyt gorących amazonek. *Jedna* z przedniejszych mówców zawołała w uniesieniu: „Mężczy-

źni zarzucają nam jak zbrodnię, żeśmy w osobie matki naszej Ewy dały im zakosztować owocu drzewa wiedzy, ale czyż inaczej umieliby jako tako radzić sobie w życiu, skoro mimo to, po dziś dzień pletą tyle bredni, popełniają tyle niedorzeczności." Łatwo sobie wystawicie ogłuszający grzmot oklasków jakim nagrodzono to odezwanie się młodej obroncielki praw kobiety.

Dla uczczenia pamięci Shakespeare'a, w miejscu gdzie stał domek w którym się urodził, wzniesiono teatr w którym przedstawiane będą same tylko utwory jego, oraz urządzono muzeum mające być przybytkiem wszelkich pozostałych po nim pamiątek. Z tej okoliczności wygłaszali mowy różni wielbiciele Shakespeare'a, wśród wszystkich jednak odznaczył się p. Teodor Martin, podniosłością myśli i siłą dowodzeń jakiemi obalał zdania wielu tegoczesnych pisarzy, utrzymujących że dramaty Shakespeare'a należy czytać ale nie przedstawiać na scenie. P. Martin mówił bardzo przekonywająco nie wszystkich jednak przekonał. Przy końcu uczty pito z zapałem zdrowie obecnej na tej uroczystości miss Heleny Faucit, jednej z najznakomitszych tegoczesnych artystek dramatycznych: przedstawia ona role bohaterek Shakespeare'a z niezrównanym wdziękiem poetycznym.

Shakespeare Memorial mieścić będzie doborową bibliotekę otwartą od rana do wieczora, aby rzemieślnicy i wyrobnicy mogli wchodzić o każdej godzinie i mieli sposobność poznania piśmiennictwa narodowego i oświecania się w różnych gałęziach nauk. Wielu z obecnych na bankiecie nie odmawiali tej instytucyi zasłużonych pochwał, stawiali jednak pytanie; czy nie lepiej byłoby za pieniądze na ten cel zebrane, założyć narodową szkołę dramatyczną, której dotąd nie ma w Anglii.

W ogóle daleko większe obudziła zajęcie wystawa pozostałych pamiątek po lordzie Byronie, urządzona w Muzeum South Kensington, do której dał pochop konkurs ogłoszony na pomnik i statuę mające stanąć w Green-Park, dla uczczenia pamięci wielkiego poety. Zgromadzono tu wszelkie przedstawione do konkursu modele z gliny i z gipsu. Widzimy tu Byrona przedstawionego w różnych postaciach i z rozmaitym wyrazem twarzy. Wybór komitetu padł na model wykonany przez młodego nieznanego dotąd snycerza, z pominięciem sławnych już współzawodników. Nowa ta gwiazda artystycznego świata londyńskiego nazywa się Belt; jest on uczniem słynnego przed trzema laty, dziś już nie żyjącego snycerza, Foley. Do tego czasu młody jego uczeń niczem się nie odznaczył: mimo to, model jego jest bardzo piękny. Dał on wielkiemu poecie pozę zupełnie naturalną, zgodną z temi słowami jego: „Siedzę na skale panującej nad lasem i równiną."

Patrząc na doskonale pojęty i odtworzony model młodego artysty, wiersz ten mimowolnie przychodzi na pamięć; utwór ten wróży p. Belt piękną przyszłość. Szczególna rzecz że nie ma portretu autentycznego, któryby wiernie przekazał nam postać i rysy nieśmiertelnego angielskiego wieszcza. Znany powszechnie portret pendzla Westmacott'a pozbawiony jest zupełnie i podobieństwa i prawdy i doskonale scharakteryzował go Karol Lamb w tych paru słowach: „Jest to jakiś dorosły rozpieszczony dzieciak, gniewający się na matkę, że mu nie dała cukierka." Jedna tylko hrabina Guiccioli posiadała doskonałą miniaturę Byrona, przytwierdzoną do łańcuszka który nosiła na szyi. Malarz Tapiani przedsięwziął zrobić olejną kopię tego portretu i trzeba podziwiać cierpliwość w jaką musiał uzbroić się malarz mający powiększać i przenieść na płótno mikroskopijne rysy miniatury, oraz hrabina Guiccioli która musiała siedzieć długie godziny, aby artysta mógł wpatrywać się w medalion którego nie mogła zdjąć z szyi. „Przysięgłam milordowi Giorgio, mówiła, że ani na chwilę nie rozłączę się z tą miniaturą którą sam włożył mi na szyję w chwili wyjazdu do Missolungii, i z nią też stąpię do grobu!" Kronika nie podaje co się stało z miniaturą gdy hrabina poszła za margrabiego de Boissy ha! wierzmy że dotrzymała przysięgi. W pamiętnikach kapitana Mewin jest wzmianka o tym portrecie i powtórzone są słowa jakie Byron wyrzekł raz o jedynej kobiecie jaką kochał prawdziwie: „Może być że Teresa jest uczoną kobietą, ale nosi tak długie suknie iż niebieskie pończochy wcale z pod nich nie wyglądają."

Sam już brak wiernego portretu, utrudniał nadzwyczaj zadanie rzeźbiarza, jednak p. Belt umiał wyjść z niego zwycięzko. Inne przedmiota nagromadzone w muzeum; budzą w publiczności żywsze lub słabsze zajęcie. Jest tam tabakierka, pistolety, pukle włosów, kilkanaście książek i szpada z którą Byron zamierzał walczyć przeciw Turkom za niepodległość grecką. Jeden tylko znajdujący się tu przedmiot ogólne budzi zajęcie: jest to pamiątka z pokoju, w którym wielki wieszcz ostatnie wydał tchnienie w Missolungii, krzyż ukryty pod poduszką zmarłego, który, jak zeznał kamerdyner jego, Fletcher, poeta zawsze nosił przy sobie. Krzyż ten jest weneckiej roboty, wyrzeźbiony z kości słoniowej, ale nie zaleca się żadną wartością artystyczną.

Widok tego krzyża wiele daje do myślenia wszystkim dobrze znającym *Kaina*, *Widzenie sądu ostatecznego* i inne jeszcze w tym duchu poemata Byrona. Któż może wiedzieć co się działo w głębi tej tak bogato uposażonej duszy, która zaznała na tym padole tyle rozkoszy i cierpień?... Dziś, kto wie, może krzyż ten sprawi, że pomnik sławnego wieszcza stanie nareszcie w Westminster.

Od pewnego czasu w dziedzinie sztuki wielki ruch i ożywienie, a przez otwarcie nowej galeryi Grosvenor i Akademii królewskiej, krytyka ma szerokie pole działalności. Galerya Grosvenor przewyższyła wszelkie oczekiwania; wszedłszy do niej zaraz na wstępie można zrozumieć zamiary założyciela, sir Coutts Lindsay. Mylnem było powszechne mniemanie że będzie to przytułek dla dzieł artystów odrzuconych przez Akademią, jest to przeciwnie walhala do której mają tylko przystęp najznakomitsi przedstawiciele w Anglii. Sir Coutts Lindsay sam jest dobrym malarzem, a w galeryi jego tylko „zaproszeni" wystawcy mogą pomieszczać swe utwory. Wszędzie tu duma arystokratyczna łączy się z dumą artystyczną; wszystko błyszczy od bogactw i złota. Ściany obite są broszowanym karmazynowym atłasem; obicie to kosztowało 1,000 f. szterl. W ogóle zarzucają że przeciążenie złotemi ozdobami psuje trochę efekt obrazów, i nadaje raczej postać prywatnego zbioru bogacza niż publicznej galeryi.

Dotąd artyści stałego lądu zaprzeczali prawie istnienia specyalnej szkoły angielskiej, otóż sir Coutts Lindsay utworzył galeryę narodową, aby cudzoziemcy mieli sposobność oglądać razem arcydzieła mistrzów malarstwa angielskiego, Aby okazać jak bezzasadnem było przypuszczenie jakichś nieporozumień między wystawą Grosvenor i akademicką, pierwszy obraz uderzający przechodnia jest to portret jenerała Napier na koniu, malowany przez Franciszka Grant, prezesa Akademii. Potem następują obrazy Burne Jones, który nic nie wystawiał od czasu poróżnienia się z Akademią a którego utwory z równym jak dawniej powitano zapałem. Jego *Zwierciadło Wenus* jest prawdziwem arcydziełem. Grono nimf stoi pochylone nad jeziorem w którego wód przezroczu odbijają się ich twarze z dokładnością wprawiającą w podziw. Każdy artysta ma przeznaczoną sobie oddzielną ścianę, jak tego w ogóle pragnęli; ma to swoje korzyści ale jeźli z jednej strony takie zestawienie utworów jednego malarza uwydatnia ich zalety, z drugiej także wykazuje wady.

Na wystawie w Akademii królewskiej nie ma tych wyróżnień, obrazy złych, dobrych i miernych artystów wiszą gdzie się zdarzy; nie trzymają się tu nawet dość śmiesznej klasyfikacyi według alfabetu, przyjętej w Salonie paryzkim. Pomieszanie takie utrudnia zadanie krytyków, jednak tegoroczna wystawa sprawia w ogóle bardzo dobre wrażenie, od razu można dostrzedz wielką jej wyższość nad poprzedzającemi. Millais przedstawił krajobraz *Szum wód*, w którem bogactwem kolorytu przewyższa prawie przyrodę. Powszechną zwraca uwagę biegłością maniery i siłą rysunku obraz Eyre Crove p. n. *Święty przybytek*. Crove jest nowo wybranym członkiem Akademii. Kobieta ścigana przez rozżarty tłum, chroni się do kościoła i padając na kolana u stóp krzyża, obejmuje go rękami. Doskonale oddany wyraz przerażenia w twarzy kobiety oraz nienawiści i wściekłości ścigającej ją tłuszczy, żywe budzi wrażenie i sławia ten obraz w rzędzie najznakomitszych dzieł przedstawionych na wystawie. Eyre Crove uczył się w Paryżu w pracowni Décamps'a i innych znakomitych malarzy i prawdziwy przynosi zaszczyt swoim mistrzom. Wszystkich obrazów przyjętych jest 1,500. Historycznych w ogóle mało; najlepszym z nich jest obraz Ward'a przedstawiający ostatnie widzenie się Napoleona I z Ludwiką królową pruską. Przed tym obrazem zbierają się najliczniejsze gromadki, nie tyle dla podziwiania pierwszorzędnego utworu, jak dla rozprawiania o fakcie historycznym który przedstawia. Królowa Ludwika przedstawiona jest w całym blasku swej głośnej piękności; Napoleona twarzy wcale nie widać, malarz przedstawia go w chwili gdy powiedziawszy królowej kilka cierpkich słów, odwrócił się i odchodzi. *Uroczystość egipska* Long'a, jako obraz sensacyjny, wielkie w tłumie budzi zajęcie. Biesiadnicy zajadają i piją wesoło, a jednocześnie niewolnicy obnoszą mumię w około sali. Przepyszny to obraz i znawcy podziwiają trudność kolorytu z jakiemi malarz musiał walczyć przystępując do przedstawienia tak trudnego przedmiotu.

(*d. c. n.*)

LISTY Z TORUNIA.

M. D. Chamskiego.

V.

W tutejszej klasie mieszczańskiej tak pod względem społecznym, jak i obyczajowym, nie panuje jednolitość. Zamożniejsze kupiectwo, bogatsi procederzyści i właściciele różnego rodzaju domostw w mieście i na przedmieściach, różnią się bardzo od drobnych przekupniów, biedniejszych rzemieślników, rybaków i t. p. Pierwsi z powierzchowności chłodni, przedewszystkiem interes osobisty na celu mający, ogładzeni trochę pod względem towarzyskim, obok fachowego, nieposiadający żadnego humanitarnego wykształcenia starłszy z siebie swobodę naturalności, mają się za coś lepszego w społeczeństwie,

a w rzeczywistości, może są najgorsi, bo najmniej mu pożytku przynoszą. Obwiniają arystokracyą i szlachtę o pewien despotyzm w obchodzeniu się z ludźmi niższego od siebie urodzenia, jednak wszystko, co się tylko da powiedzieć pod tym względem przeciw tej arystokracyi i szlachcie, jest niczem w obec tego, jak spanoszony mieszczanin, toruński, czy tam inny w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, obchodzi się z ludźmi biedniejszymi od siebie. Nie utrzymuję bynajmniej, aby ich krzywdził, bo tego nie robi, a przynajmniej nigdym się o tem nie przekonał, ale obejście się towarzyskie, to lekceważenie człowieka, dla tego, że biedny, ten wreszcie brak szlachetnego, wyższego miłosierdzia nie leżącego w jałmużnie, lecz w przychylnem obchodzeniu się z biedakiem, tego wszystkiego tutejszy spanoszony mieszczanin nie posiada. Nie śmiem twierdzić, czy to jest ogólna cecha charakterystyczna tej całej klasy w społeczeństwie, to jest klasy zamożniejszej małomiejskiego mieszczaństwa, do tego jednak doszedłem przekonania, że np. niemieckie mieszczaństwo w Toruniu, temi samemi odznacza się wadami, a nawet w wyższym stopniu, bo gdy w polskim toruńskim mieszczaninie jego spanoszoną gburowatość, łagodzi często wspólność sytuacyi i interesów narodowych, niemiec pod tym względem nie zna hamulca i jest prawdziwym satrapą...

Z takiej charakterystycznej właściwości, mógłby kto pewno sądzić, że ów spanoszony mieszczanin, w obec wszystkich ma wysokie pojęcie o swojej osobistej godności, gdzie tam!... W obec osób bogatszych, w obec panów, są pokornymi i uniżonymi często aż do upodlenia...

— Proszę pana, gdzie tu redakcya na tej ulicy? zapytuje wchodząc do pewnego procederzysty, jakiś młody człowiek dość biednej powierzchowności.

— Tam, odpowiada gospodarz, nie patrząc się wcale na pytającego...

— Po prawej, czy po lewej stronie?

— Prosto nosa...

W minutę może, staje we drzwiach jakiś okazały jegomość i pyta:

— Mój panie, gdzie tu jest redakcya?

— Zaraz, natychmiast, panu dobrodziejowi pokażę, i pan procederzysta wybiegł czemprędzej na ulicę i pomimo, że śnieg padał, zaprowadził pytającego się na drugą stronę ulicy, kłaniając mu się nizko..

— Któż to jest ten jegomość, dla którego byłeś pan tak uprzedzająco grzeczny?

— Ba! gruba ryba!... To pan Slaski, dziedzic z Trzebeza...

— A ten pierwszy?

— A dyabli go tam wiedzą!... Jakiś hołysz, szuka zajęcia... Jak mi Bóg miły, obedrą niedługo człowieka ze skóry... To na to składki, to na to znowu... W imię Ojca i Syna, we łbach im się poprzewracało... Jakże to ten poeta powiedział:

Na swój ród
Każdy rób...

— Wiersz, co prawda, nietęgi..

— Jakto nietęgi?

— Nie ma rymu...

— E, głupstwo rym, byleby były grajbery w kieszeni, to się i rym, i wszystko znajdzie...

— No, pan ma przecie grajbery...

— Mam.

— To niechże pan pisze wiersze...

— Żebym chciał, to bym pisał, ale nie chcę, po co mi to...

— Mój panie, choć malutkie dwa wiersze; choćby jeden, napisz pan, mój panie...

Procederzysta popatrzył się uważnie...

— Tak mi się coś zdaje, że pan ze mnie kpisz...

— Ale gdzie tam!...

— Ejże!...

— Niech Bóg broni!..,

— Pamiętaj pan! A teraz chodźmy na *goldwasserkę*, bo mi coś na wnętrzu kręci, a jak człowiekowi źle na żołądku, to się głowa też na dyabła nie zdała...

Mieszczanin tutejszy w ogóle, choć się ma za coś lepszego od chłopa, pod względem poziomu inteligencyi, nie przewyższa go nawet o włos, a to, co by na upartego, należało nazwać ogładą towarzyską, bardzo często jest śmieszną pretensyonalnością i w oczy nie mile wpada. Chłop ubierając się po swojemu, mówiąc po swojemu, jest naturalny, jest sobą. Mieszczanin kładzie na swoje ramiona surdut, ba, frak nawet na szczególne uroczystości, ale w ubraniu tem jest tak komiczny, że kwalifikuje się wprost na stronnicę pisma humorystycznego, jako karykatura.

Taki pan mieszczanin, lubi się zajmować wyższą polityką czytając od czasu do czasu niektóre ustępy miejscowej gazety...

— Ten francuz zawsze na prusaka krzywo patrzy...

— Bo musi. .

— A prusak ino węszy, żeby gdzie wypatrzeć znowu jaką Alzacyą...

— Niedoczekanie jego...

— Ja bo przyznam się panu Hieronimowi, jak pragnę Boga przy skonaniu, i jak katolik jestem, to nie mogę w żaden sposób zrozumieć, gdzie ten Bismarck tyle pieniędzy podział, co wziął od francuzów?...

— Ba! odpowiedział pan Hieronim i machnął ręką.

— A toć to, gdyby te pieniądze ułożyć srebrnemi talarami na Starym Rynku, toby podeszły pod brodę Kopernikowi...

— Ale oczy by mu zakryły, i jeszcze wyżej...

— No, i gdzie się to wszystko podziało?...

Pan Hieronim zamiast głośnej odpowiedzi zaczął szeptać coś sąsiadowi do ucha.

— To może być... to może być... odpowiadał ten, któremu szeptano do ucha.

— A tymczasem bieda...

— I jaka jeszcze...

— Cóż robić...

— Bogu się tak podoba, trudna rada...

— A juści, rozpaczać nie można... Bieda musi być, kiedy ją Bóg stworzył, nie tu, to tam, bo gdzieby się podziała... At, wszystko będzie dobre, ino złe ominie... Mój panie Raciniewski, każ no nam tu przynieść butelczynę tego, co wiesz, a pamiętaj, żeś katolik, nie orżnij nas. Przyślij że staruszkę... My nie dzisiejsi, rozumiesz...

Przegląd literacki.

O szkołach początkowych. Samouctwo. Klasa wstępna. Przez Autora Wielkiej i Małej Polityki. Kraków 1875.

Niniejsza broszurka zajmuje się dwiema kwestyami specyalnemi i niektóremi ogólniejszemi z dziedziny oświaty ludowej i elementarnej.

Pierwszą kwestyą specyalną; którą zaprząta się autor, jest brak wychowania domowego i uprzedniego przygotowania do nauki u dzieci uboższej ludności, wstępującej do szkół elementarnych. Nietylko w domach włościańskich i małomieszczańskich nie może być mowy o porządnem i troskliwem rozwijaniu umysłu dziecka od lat najmłodszych za pomocą rozmów, pogadanek i nauki poglądowej, ale, jak wiadomo, nawet pierwsze podwaliny religijne i moralne, które dziecko tylko z domu wynieść może, bywają pomijane i zaniedbywane albo też zaszczepiane i rozwijane w postaci spaczonej i opłakanej, tak, że potem już szkoła nie może nic poradzić z takiemi dziećmi. Dla zaradzenia obydwom tym brakom, autor radzi urządzić klasę wstępną czyli przygotowawczą do szkół elementarnych, w której dzieci, nietylko jeszcze nic nieumiejące, ale nawet pozbawione zasad moralnych, nie znające rzeczy ani pojęć, o których im potem czytać wypadnie, nabywałyby tych zasad i rozwijały swe pojęcia staraniem nauczyciela. Ma to więc być przedsionek szkoły elementarnej, zastępujący dzieciom ich dom i rodzinę, wynagradzający to, czego rodzina powinna była je nauczyć, a co zostało zaniedbanem. Uczniowie tej klasy wstępnej mają zbierać się nie w izbie szkolnej, lecz na wolnem powietrzu, na polach, łąkach, w lasach i t. d., tu nauczyciel nie ucząc jeszcze czytać i nie używając żadnej książki, będzie rozmawiał z dziećmi o przedmiotach otaczających: kłos, grzyb, trawka, odgłos dzwonu i t. d., wszystko to dostarczy mu przedmiotu do rozwijających umysł dziecięcy pogadanek.

Piękny to pomysł, ale zrazu już wygląda sielankowo, utopicznie. Zdaje się że u nas, a zwłaszcza w Galicyi, którą przedewszystkiem autor ma na widoku, podobne urządzenie nie dałoby się zaprowadzić dla bardzo wielu przyczyn jak: brak uzdolnionych nauczycieli, którzy chcieliby się tej trudnej pracy poświęcić, brak środków utrzymania tego nauczyciela i t. p. Zdaje się że daleko byłoby praktyczniej połączyć tę klasę wstępną ze zwyczajną szkołą elementarną, urządzając ją, jako oddział osobny, tam gdzie się to da zrobić, a przynajmniej trzebaby poprzestać na tem, ażeby położyć szczególny nacisk na podwójne zadanie szkoły elementarnej, która nietylko ma uczyć dzieci, ale także do nauki przygotowywać i wynagradzać braki wychowania domowego. Zaszczepianie zasad moralnych i religijnych, a także rozwijanie przygotowawcze umysłu dzieci jeszcze nierozwiniętych, zapoznawanie ich z przedmiotami i pojęciami za pomocą nauki poglądowej ażeby potem gdy zaczną uczyć się czytać, rozumiały czytane wyrazy, to wszystko należy do obowiązków przewodnika szkoły elementarnej.

Druga kwestya przez autora rozbierana, to samouctwo. Autor daje nam poznać Elementarz; opracowany przez bezimiennego pedagoga, obecnie wydany na nowo w Krakowie przez d-ra Miłkowskiego. Zdaniem tego elementarza jest ułatwić samouctwo w nauce czytania i pisania nie w tem znaczeniu, żeby zupełnie obejść się bez nauczyciela, bo to jest rzeczą prawie zawsze i we wszystkiem niepodobną, ale żeby pracę i skazówki nauczyciela sprowadzić do najmniejszej miary, przeciwnie zaś, dać jak najobszerniejsze pole samodzielnej pracy ucznia: nadto ażeby postawić dziecko w możności pokazywania i ułatwiania innym dzieciom tego, czego się już samo nauczyło. Dla osiągnięcia tych celów służy wcale trafnie i dowcipnie obmyślany ów Elementarz. Składa się on z kilkunastu kartek, czerwono zadrukowanych literami (kształtu drukowego i kursywą czyli pisanemi), cyframi, zgłoskami i wyrazami. Początek nauki jest taki: nauczyciel zaczyna od wyrazów liczebnych, jako każdemu już prawie dziecku znanych, jeden, dwa, trzy i t. d. i pokazuje uczniowi kolejno litery, z których każdy ten wyraz się składa, zarazem wymienia nazwę litery i pokazuje odpowiednią liczebnikowi cyfrę czyli znak liczebny. Potem dziecko wyszukuje w całym elementarzu tę lite-

rę i ten znak liczebny i zakreśla je czarnym atramentem; tak samo postępuje z dalszemi literami i dalszymi liczebnymi znakami, potem głośno rozdziela wyrazy *jeden*, *dwa* i t. d. na zgłoski, zakreśla w elementarzu te zgłoski, pisze zgłoski, a potem całe wyrazy, dopóty aż nie wprawi się w czytaniu, pisaniu i oznaczaniu cyframi liczebników najprzód od 1 do 10 a potem i dalszych do 1,000: wreszcie już dziecko samo będzie mogło wymawiać, czytać i pisać takie liczebniki pośrednie i dalsze, jakich już nie ma w Elementarzu. Przytem, poznawszy i wyszukując choć jedną literę, dziecko może, bawiąc się, jakby do pomocy, wezwać inne dzieci i tym sposobem już odegrywać rolę nauczyciela nieumiejących.

Autor broszury radzi skrócić wzmiankowany elementarz, drukować go szarymi wodnymi znakami dla oszczędności) i rozdawać dzieciom po kilka egzemplarzy, nie zaś po jednym, który łatwo może uledz zniszczeniu. Radzi także obowiązek przewodnika w tem samouctwie połączyć z obowiązkami nauczyciela projektowanej klasy wstępnej. Byłoby to jednak już pewną niekonsekwencyą, gdyż podług tego, cośmy przytoczyli powyżej, nauczyciel klasy wstępnej nie powinien uczyć czytać ani używać książki. Połączenie to uczyniłoby z owej klasy przygotowawczej formalną szkołę przedelementarną, a zatem zdwoiłoby liczbę tych szkół i nauczycieli, co podobno jest niemożliwem.

Oprócz tych dwóch głównych kwestyi, autor potrąca wiele innych, choć pokrótce i pobieżnie, a czasem niebardzo w związku i systematycznie. Mówi więc o ogólnych celach wychowania moralnego i religijnego, o potrzebie przeciwdziałania szerzącym się obecnie szkodliwym wpływom, o administracyjnych i finansowych warunkach szkół galicyjskich i t. d. Niezbyt potrzebnie porusza tu nawet autor kwestye pisowni. Pomimo pewnego nieładu i zbytecznej czasem gadatliwości w niektórych ustępach, autor celuje wszędzie myślą zacną, dążnością uczciwą i zamiłowaniem sprawy oświaty; znać człowieka, który dużo myślał o tej sprawie i sam praktycznie jest z nią obeznany. Dla tego można polecić tę książeczkę nauczycielom początkowym i domowym, którzy znajdą w niej nieco dobrych rad i pożytecznych skazówek.

Wielką zaletą, zwłaszcza w książkach w Galicyi wychodzących jest czysta polszczyzna, potoczysty i jasny styl autora.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w czwartym kwartale r. b., wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. **2 kop. 50**
Półrocznie . . . rs. **5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . **rs. 1.**
Półrocznie . . . . . **rs. 2.**
Rocznie . . . . . . **rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41** nowy**).**

Nowe wydawnictwa.

Dzieł Karola Szajnochy, wyszedł tom VIII i obejmuje dokończenie Jadwigi i Jagiełły. Każdy tom kosztuje rs. 1 na miejscu, na przesyłkę zaś pocztową dopłaca się do każdego tomu kop. 10. Okładka ozdobna na sposób zagraniczny w płótno angielskie, z wyciskami i złoceniami na grzbiecie, kosztuje na miejscu w Warszawie kop. 40, z przesyłką pocztową kop. 50.

Kalendarz polski na rok 1878, wydany przez P. T. wyszedł z druku i obejmuje oprócz właściwego kalendarza i działu informacyjnego, część literacką. Cena egzemplarza na miejscu kop. 15.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani N. D. Wierszyk o Amorku zgrabny i dobrze ułożony, inne nie są złe, ale obrazowanie w nich i porównania nie mają wybitniejszej cechy oryginalności. Autorka ma główkę zdolną i myślącą, zanim więc młodziutkie jej lata zwiększą się w liczbie, radzimy zająć się tłomaczeniem mniejszych obcych poezyi, tylko starannie wybranych i oznajmieniem się z naszą bieżącą i dawną literaturą. Korzyść ztąd zyska podwójną, bo nabierze wprawy w wyrażaniu myśli i ją samą rozwinie i więcej uczyni działającą. Zdanie to nasze niech Autorka przyjmie z uczuciem, jakie nas ożywia dla wszystkich młodych talentów, które jak młode orły zbyt pospiesznie wylatując w szranki poetyczne, giną z wielką szkodą społeczną. Wielka to strata!

Panu Ant. K. Za pamięć serdecznie dziękujemy, ale ze zbiorku nadesłanego korzystać nie możemy. Brak w nim polotu prawdziwie poetycznego, a przeważa zbyt rozszerzone obrazowanie tego, co się da daleko krócej wyrazić. Legendy ludowe mogą stanowić dobry materyał, ale nadesłana nie jest odpowiednio rozwinięta.

Opis ryciny kolorowej.

Fig 1. Ubranie wizytowe. Suknia z materyi bronzowej faille zdobna plisowanemi falbankami, dopełniona jest vêtement z białego gipiurowego materyału z szeroką nicianą koronką. Tylny bryt vêtement przepięty w bufy zszyty jest z pasów materyi i gipiurowych, rękawy z wązkich pasków i wstawek. Wzdłuż przodu naszyta koronka fałdowana wachlarzowo, przepinana kokardami. Kapelusz biały słomkowy zdobny bronzową materyą i cieniowanem strusiem piórem.

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Materyał cienki wełniany koloru écru użyty na suknię i vêtement ożywiony jest dodaniem przybrania z materyału koloru ciemno-zielonego. Przedni bryt spódnicy od dołu gdzie brzegi vêtement się rozchodzą splisowany jest w drobne fałdki. Falbana plisowana przy spódnicy zakończona jest wązką falbaneczką zieloną. Dół vêtement zdobi szeroka frendzla écru z wiązaniem zielonem. Kapelusz z angielskiej słomki z rondem podszytem zielonym aksamitem, zdobny wianeczkiem drobnych kwiatków i piórem.

Przyjaciela Dzieci Nr. 37 wyszedł z druku i zawiera:

Dom Marcina Kromera w Bieczu (z drzeworytem). — Czarne Indye. — Do Mani Ba......ej (wiersz). — Kilkodniowe wakacye. — Pogadanki historyczne. — Czyny nauczające. w Dodatku: Zygmuntek (z drzeworytem). — Cenzurowany (wiersz). — Przygody Janka i Marylki. — Gałganiarka (wiersz). — Łosie (z drzeworytem). — Nie własna praca (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: *Do* ***J. K. Gregorowicza.*** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 31 Авг. (12 Сент.) 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Opis do N. 36.

(Dokończenie).

N. 41. Kapelusz z dyademowem rondem.

Czarny bastowy kapelusz ma dyademowo odwinięte rondo podszyte złożoną w fałdki materyą tilleul. Ciemnooliwkowa wstążka, od spodu koloru tilleul, ułożona jest w sutą kokardę z tyłu główki. Pióro strusie i gałązka żółtych cieniowanych dzwoneczków dopełnia przybrania.

N. 44 i 1—2. Książeczka do biletów wizytowych.

Potrzeba na nią dwóch kawałków kanwy papierowej po 10 cent. długości a 8 szerokości, które w około brzegów zdobi szlaczek wyszyty jedwabiem kolorowym podług ryc. 1 lub 2. Środek zajmuje kawałek materyi, na którym wyhaftowany bilet (z nazwiskiem osoby dla której książeczka ma służyć), wsparty na gałązce kwiatów. Obie części złączone są przez podszycie z wstążki w jak najlepszym gatunku i związują węższemi wstążeczkami.

Opis do N. 37.

N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z kaftanikiem bez rękawów.

Ubranie z materyału wełnianego gładkiego i w kratki, składa się ze spódnicy, długiego vêtement formą princesse, którego bardzo długie przody krajane razem z boczkami, ułożone są u dołu w poprzeczne głębokie fałdy, naśladujące upięcie „Almée“ i z paletocika bez rękawów. Drobno plisowane falbanki garnirunku z przestębnowanemi nagłówkami, oszyte są białą, wązką koroneczką albo objęte wypustkami odmiennego cieniu lub koloru, a mają 6 i 9 cent. szerokości. Lekko podpinany bryt tylny, prosty, w górze układa się w kontrafałdę i przyszywa od spodu do długiej baskiny pleców. Kokardy do kieszonek i rękawów 5 cent. szerokie, są z materyi.

N. 2. Ubranie z vêtement skośnie zapinanem, dla niedorosłej panienki.

Ubranie przeznaczone do ślizgania się na łyżwach z kółkami, odrobione być może z każdego letniego materyału; w miejsce ręcznie albo w maszynie haftowanych falbanek batystowych, można oszyć vêtement koronką szydełkową albo nicianą, wiązaną na szpilkach. Spódniczka nie dochodząca do ziemi, na modelu oszyta była falbaną 16 cent. szeroką której drobne plisowanie przedzielane było co 7 cent., kontrafałdą 3 cent. szeroką.

N. 3. Ubranie z vêtement prosto zapinanem, dla niedorosłej panienki.

Do gładkiej niedochodzącej do ziemi, czarnej jedwabnej spódnicy, vêtement odrobione było z czarnej grenadyny, i oszyte galonami jedwabnemi albo plisami z materyi, $3 \frac{1}{2}$ cent. szerokiemi, zakończonemi kolorową wypustką ze sznureczkiem, i przystębnowanemi po brzegach dwa razy, jedwabiem kolorowym. Stębnówki daje się bardzo blizko jedną przy drugiej. Kokardy ze wstążki kolorowej 4—5 cent. szerokiej i guziki szmuklerskie dopełniają przybrania vêtement.

N. 4—6. Przykrycie na stoliczek, wyszyte bawełną i jedwabiem na kanwie jawa.

Materyał: kwadratowy kawałek białej lub kolorowej kanwy jawa, trzymający 52—60 cent., bawełna estramadura N. 3 do wyszycia a N. 5 na frendzlę, gruba mignardise i cienki jedwab czarny.

Ryc. 5 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę ściegów i część deseniu wyszytego na kanwie białej, bawełną grubą białą i jedwabiem cienkim czarnym; ryc. zaś 6 podaje próbkę szlaku i frendzli szydełkowej z przywiązywanemi kwastami. Całość łatwo dopełnić można podług zmniejszonego rysunku ryc. 4.

N. 8. Frendzla do mantyl, chustek i t. p. robota wiązana („Macramé“) czyli zadziergiwana.

N. 9—10. Szlaczki wyszyte jedwabiami, włóczkami lub bawełną kolorową, do przyozdobienia sukienek dziecinnych fartuszków, spódnic lub t. p.



N. 1. Suknia z kaftanikiem bez rękawów.

N. 2. Ubranie z vêtement skośno zapinanem, dla młodej panienki.

N. 3. Ubranie dla młodej panienki.

N. 11. Koronka szydełkowa.

Gwiazdki ozdobione kratką koronkową, robią się oddzielnie i spajają jedne z drugiemi o. ści. łańcuszkowemi, przy obrabianiu ząbków. Z bardzo cienkich nici albo bawełny kordonkowej, robi się najpierw kółko z 24 o. łań., obrobione 30 o. ścisłemi, potem odwraca się robotę i obrabia się ząbki, (zajmując zawsze w poprzedzające oczka od spodu), w sposób następujący * opuścić 1 o., w dwa następujące zrobić 2 o. ści., opuścić o. 1-no a w następujące zrobić 10 słupków 2 razy nawijanych; powtórzyć od * razy 5 i zamocować nitkę. Środki gwiazdek zapełnia pająpczek robiony nićmi i ściegiem koronkowym, w górze łączą je ząbki z o. łań. i pikotów, robione sposobem następującym: * 1 o. ści. w zagłębienie ząbka gwiazdki, 3 o. pow., 2 pikoty z 6 o. pow., przedzielane 2 o., 3 o. pow. i 1 o. ści. w zagłębieniu następującej rozety, 5 o. pow. od spodu pod listkiem górnym rozety następującej, i powtarzać od *.

W pierwszym rzędzie górnym daje się 1 o. ści. w środkowe o. górnego ząbka gwiazdki, 6 o. pow., 1 słu. przyczepiony w o. środkowe między pikotami, 6 o. pow., 1 o. ści. W drugim rzędzie ciągle obrabiać 6 o. pow. 8 o. ścisłemi, w trzecim dawać na przemian 1 o. pow. 1 słupek.

N. 12. Koronka z mignardisse i roboty szydełkowej.

N. 13—14. Poduszka okrągła do kanapy. Robota krzyżowa.

Ryc. 13 przedstawia poduszkę do kanapy lub do okrągłego taboretu, którą robi się na cienkiej kanwie nicianej, włóczkami angielskiemi. Na starannem dobraniu kolorów zależy piękność roboty, do której na ryc. 14 podajemy $\frac{1}{4}$ część deseniu.

N. 16. Sukienka dziecinna. Krój podług ryc. 14 i 59 w N. 36 Tygodnika.

Białą pikową, z przodu zapinaną sukienkę, przykrawa się podług formy i zdobi wstawkami z nicianej koronki, $2 \frac{1}{2}$ cent. szerokiemi, które naszywa się wzdłuż z przodu i na plecach, aż do przyszycia części fałdowanej. Z pod wstawek wycina się tło którego brzegi podszywa wąziutkiemi listewkami z perkalu a pod koronkę poddaje się kolorową wstążkę odpowiedniej szerokości. Górny wykrój i krótkie rękawki oszywa się koronką $3 \frac{1}{2}$, a dół sukienki $5 \frac{1}{2}$ cent. szeroką. W zwierzchniej połowie przodu robi się dziurki do zapinania, koło których dla ozdoby przyszywa się 3 płócienne guziki, 4-ty guzik przyszywa się do spodniej połowy wprost dziurki, tak ażeby po zapięciu wszystkie cztery stanowiły szpiczasty czworokąt. Kieszonka szpiczasta ma 12 cent. długości; a 10 górnej szerokości. Szarfy ze wstążki przyszyte do szwów bocznych i kokardy, suto zdobią sukienkę.

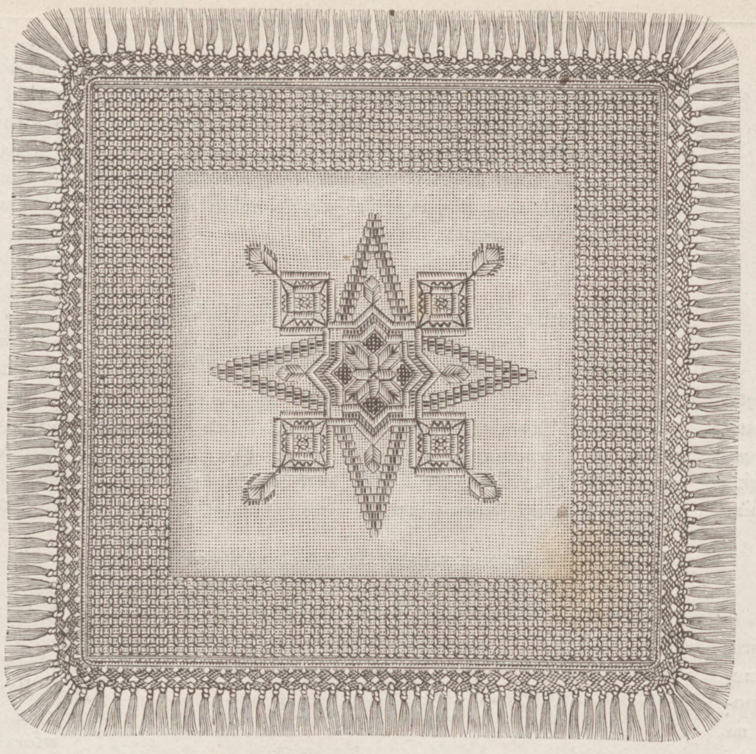
N. 16. Wycięta sukienka dla małej dziewczynki przód na ryc. 22 w N. 38 Tygodnika; krój jak do ryc. 15.

Białą muslinową sukienkę szyje się bez podszewki i daje pod spód sukienkę białą lub kolorową perkalową albo jedwabną.

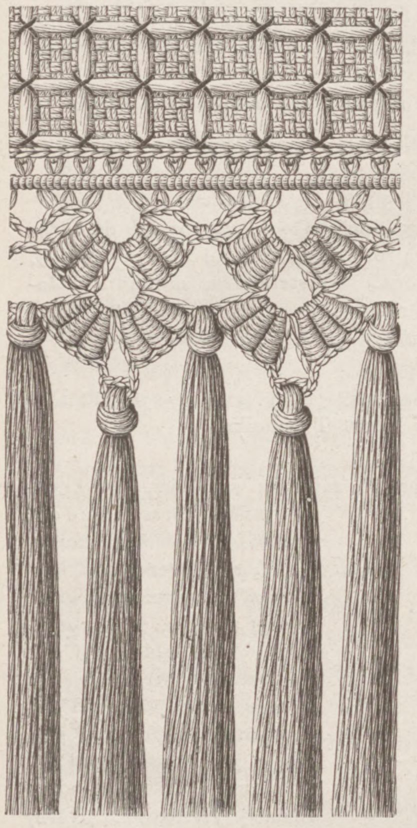
Na ryc. 16 i 22 w N. 38 widzimy taką sukienkę ozdobioną wstawkami 2 cent. szerokiemi, haftowanemi i koronkowemi, złączonemi na przemian $\frac{2}{3}$ cent. szerokiemi, batystowemi listewkami, stanowią one pas 18 cent. szeroki wszyty z przodu i z tyłu w środku pleców, aż do części fałdowanej, a z brzegów zakończony plisowaniem. U dołu sukienka wycięta jest w zęby oszyte wstawką haftowaną, dolna jednak, fałdowana część pleców nie ma zębów tylko równo przyszytą wstawkę. Plisowanie oszyte wąziutką koronką, przyszyte pod zęby z przodu ma 9 cent. szerokości, z tyłu tylko $6 \frac{1}{2}$. Zapięcie urządza się w środku pleców aż do części fałdowanej, której przyszycie pokrywają szarfy z kolorowej materyi lub wstążki.

N. 17. Chusteczka z koronkowemi wstawkami. Zobaczyć wstawkę na ryc. 35 w N. 38.

Chusteczkę przykrawa się w całości z kolorowej materyi, wstawki przyszywa na wierzchu, a następnie materyę wycina się z pod nich. Albo też na papierowej formie chusteczki fastryguje się najpierw wstawki pozostawiając potrzebne odstępy na pasy materyi, które stębnuje się jedwabiem do wstawek, a po skończeniu papier wydziera się od spodu. Podłużnie otwarty wykrój w górze, garniruje się riuszą ze wstążki i plisowaniem z krepy; dół oszywa kwaścikową jedwabną frendzlą.



N. 4. Serwetka na stoliczek, wyszyta na kanwie Jawa. Patrz ryc. 5 i 6.



N. 6. Frendzla szydełkowa do ryc. 4.

Próbkę ręcznie robionej wstawki, naśladującej malinową koronkę, podamy w N. 38, na ryc. 35.

N. 18. Krawatka koronkowa.

Na ryc. 18 wskazujemy sposób wiązania koronkowej krawatki mającej 20 cent. szerokości a 140 długości. Pukiel na dół spuszczony jest 21 cent. długi, a węzeł przytrzymany długiem metalowem spięciem.



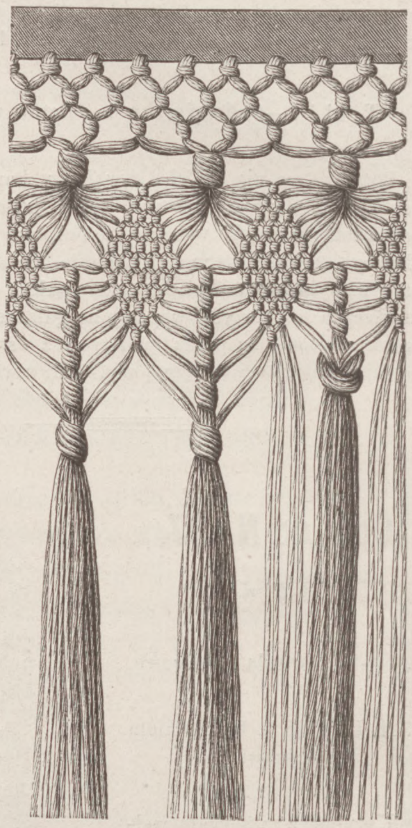
N. 8. Serwetka ozdobiona haftem.

N. 19. Koronka do chustek na głowę lub do okrycia, robiona na drutach.

Próbka nasza podana prawie w naturalnej wielkości, tak wyraźnie wskazuje sposób roboty, iż opis byłby zbyteczny. Koronka taka służyć może do chustek robionych z cienkiej niekręconej włóczki, kordonkowej bawełny lub jedwabiu.

N. 20. Koronka szydełkowa do kap na łóżka lub t. p.

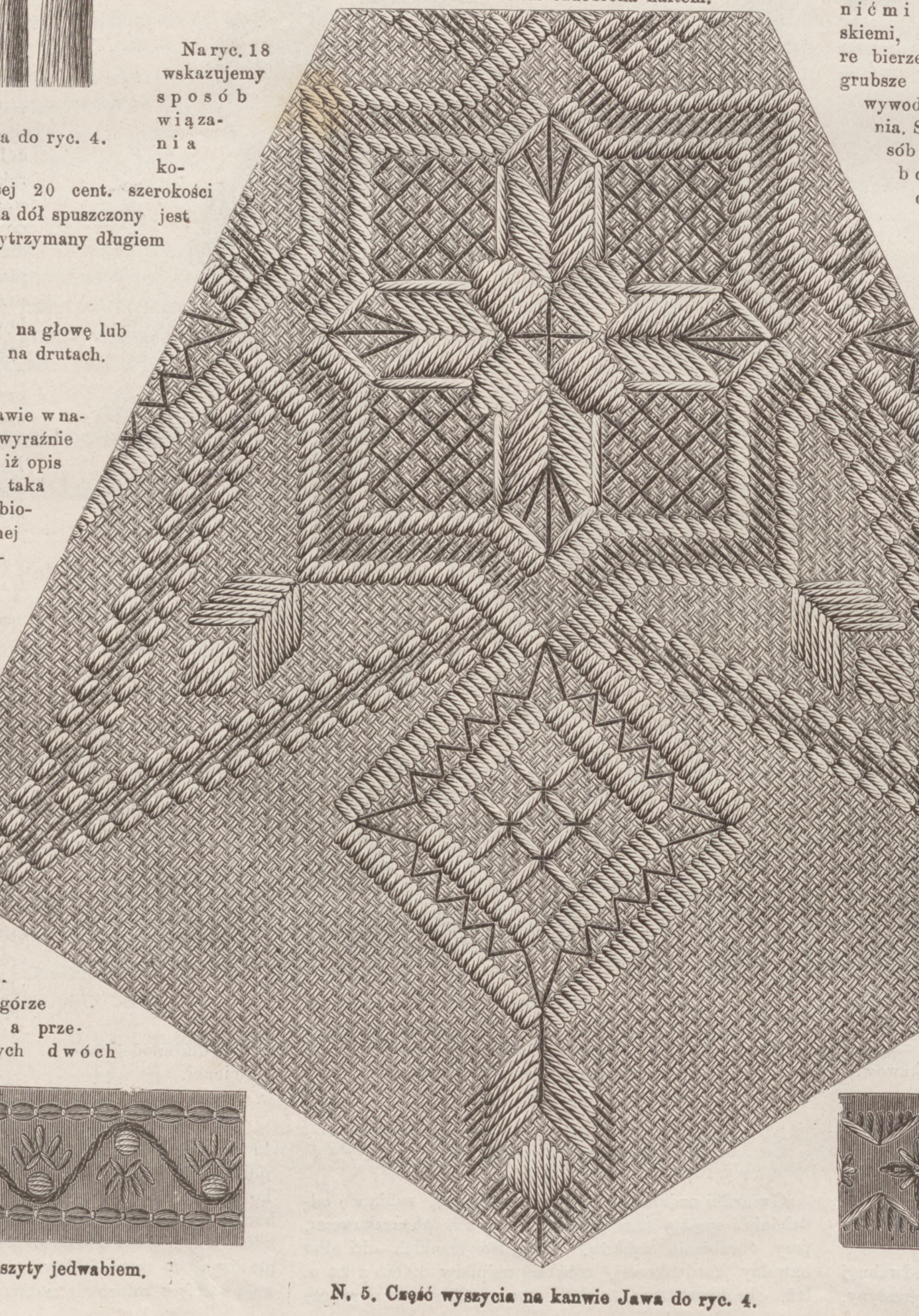
Koronkę robi się wzdłuż, zaczynając od łańcuszka obrobionego rzędem o. ści.; dalej idą 2 rzędy dwa razy nawijanych słup. branych u dołu w 1 o. poprzedzającego rzędu, w górze spajanych jedną pentelką a przedzielanych od następujących dwóch sł. 3 o. pow. W 3-cim rzędzie 3 słup. brane w 1-no o. w górze przerabiane są oddzielnemi pentelkami i przedzielane 1 o. pow. W 5-tym rzędzie robić * 2 podwójne słupki łączone i przyrabiane jak w rzędzie 1-szym, 16 o. łańcuszka, z których 12 łączy się na kwadracik obrobiony 20 słupkami, z których daje się po 5 na każdą stronę, przedzielanych 2 o. pow., potem 2 o. pow. dwa słupki tworzące ząb w górze jedną pentelką złączone, 1 o. pow. 1 pikot z 4 o., 1 o. pow.; powtarzać ciągle od * łącząc kwadraty ze sobą. Nakoniec w sposób wyraźnie wskazany na próbce, obrobić kwadraty u dołu dwa razy nawijanemi sł. i pikotami, a w górze dodać drabinkę ze sł. pojedyńczych.



N. 7. Frendzla wiązana z jedwabiu do chustek sukien i t. p.

N. 21. Koronka robiona na białym albo czarnym tiulu.

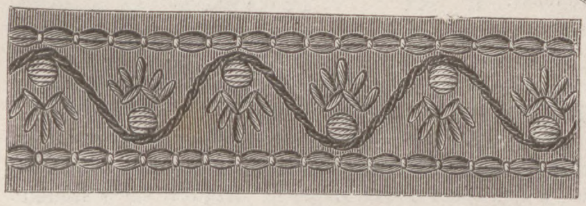
Na czarnym jedwabnym tiulu wyszywa się deseń filozelą na tiulu zaś białym nićmi płaskiemi, które bierze się grubsze do wywodzenia. Sposób roboty dokładnie wskazuje próbka; u dołu zęby zakończone są pikotami fabrycznemi przyszytemi ściegiem sznureczkowym.



N. 22. Kwadrat z siatki gipiurowej, do ryc. 32—33 w N. 38.

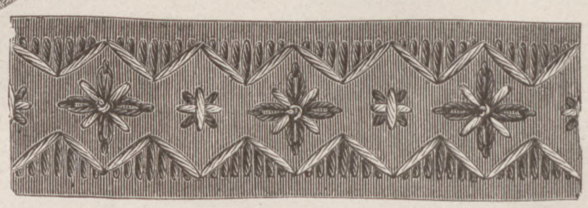
N. 23—29. Kostium podróżny albo negliżowy.

Na ryc. 23—29 podajemy wzory i wskazówki ułatwiające robotę dogodnego kostiumu, któren stanowić może ubranie podróżne, domowe, albo ranne spacerowe. Kostium odrobić można z kretonu albo z tkaniny wełnianej, wyroby wełniane są jednak właściwsze jako mniej ulegające zgnieceniu. Kostium składa się ze spódnicy sięgającej do ziemi, której bryty tylne podszyte są listewką do ściągania, i z tuniki spódniczkowej z boków podpinanej za pomocą listewek i tasiemki. Miejsce stanika zastę-



N. 9. Szlaczek wyszyty jedwabiem.

N. 5. Część wyszycia na kanwie Jawa do ryc. 4.

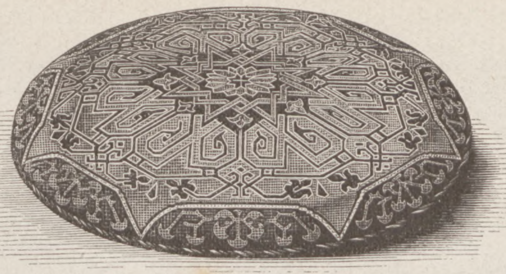


N. 10. Szlaczek wyszyty jedwabiem.

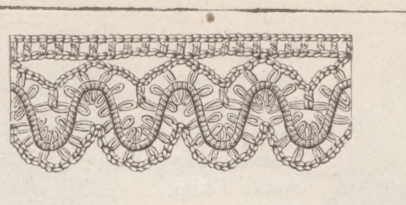
puje bluzka do której dodaje się kaftanik bez rękawów, albo luźny paletocik zrobiony podług ryc. 23—24. Plisowany garnirunek spódnicy, może być kilka razy przestębnowany, jak na ryc. 27, lub oszyty plisą ciemniejszą lub z odmiennego materyału jak na ryc. 28. Krój i miary spódnicy wskazujemy na ryc. 29, a krój tuniki na ryc. 26. Krótki paletocik przykrawa się podług formy wybranej pomiędzy różnemi podanemi w poprzedzających N-rach Tygodnika, a garnirunek tuniki i paletocika stanowią gładkie plisy i wypustki z gładkiego materyału lub z materyi, jak to widzimy na ryc. 23—25.



N. 11. Ząbki szydełkowe.



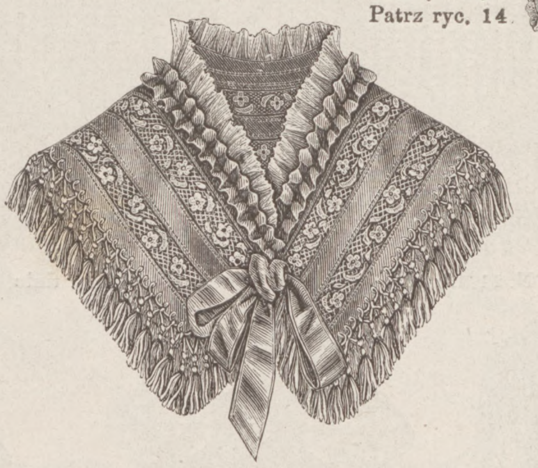
N. 13. Okrągła poduszka robotą krzyżową. Patrz ryc. 14.



N. 12. Ząbki szydełkowe z mignardisse.



N. 15. Sukieneczka dla dziecka.



N. 17. Chusteczka z materyi i wszywek koronkowych.



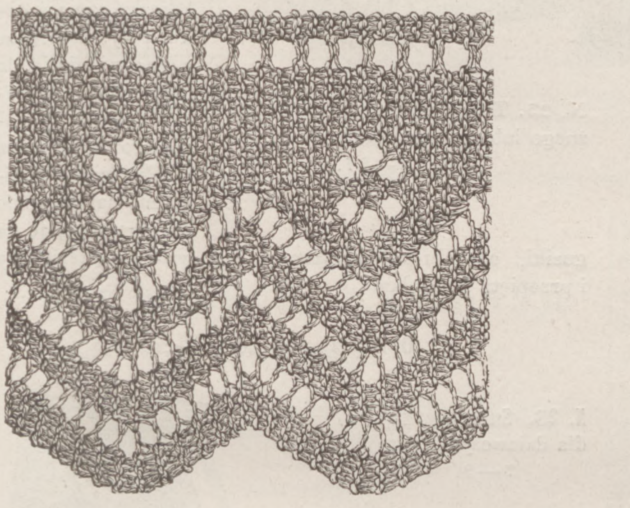
N. 16. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki.

N. 30. Szal w guście perskim, haftowany kolorowemi jedwabiami.

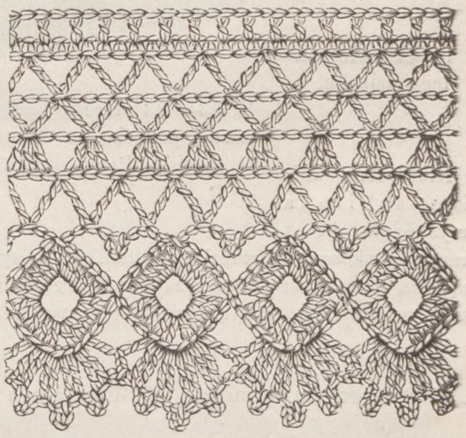
Do bardzo modnych lekkich okryć zaliczane są szale perskie mające 250 cent. długości a 50—60 cent. szerokości, haftowane na cienkim kaszmirze, filozelą różnokolorową. Na modelu tło środkowe było śliwkowego koloru, a szlaki w koło haftowane różnemi kolorami na tle



N. 18. Krawatka koronkowa



N. 19. Koronka robiona na drutach.



N. 20. Koronka szydełkowa.

czarnem. Brzegi poprzeczne oszyte były paskami śliwkowego kaszmiru z wązko wysiepaną frendzlą.

Opis do N. 38.

N. 1—3. Szlaczki wyszyte ściegiem krzyżowym.

N. 4—5. Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.

Ząbki podane na ryc. 4 i 5 mało różnią się z sobą, a nawet nagłówki górne mogą być jednakowo odrobione; dolne ząbki na ryc 4 składają się ze sł. i ząbków pow. a na ryc. 5 z o. pow. obrobionych śc. nakształt dziergania. Pierwsze mogą być odrobione z grubszej druga zaś próbka lepiej przedstawia się odrobiona z cienkiej bawełny.



N. 14. Deseń na robotę krzyżową do ryc. 13.

N. 6—7. Kaftan męzki robotą fabryczną.

Na rycinie 7 załączamy próbkę tła ażurowego fabrycznego, w wielkości naturalnej, odpowiedniego na kaftaniki jakie noszą się pod ubraniem dla ciepła. Najzdrowsze i najprzyjemniejsze w użyciu są jedwabne, lecz te są dość drogie i zastępują je wełnianemi lub bawełnianemi.

N. 8—9. Kaftanik damski, robiony na drutach.

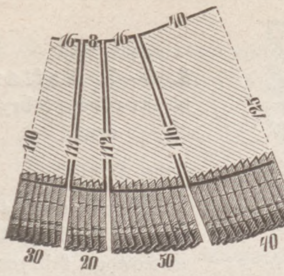
Łatwy i pośpieszny do wykończenia, odrabia się na drutach stalowych z cienkiej włóczki, zwykłym gładkim ściegiem, jak to próbka ryc. 9 przedstawia. Przód i plecy robi się każde oddzielnie zaczynając na 150 o. od dolnego brzegu i obrabia bez żadnego przybierania 134 razy. Ramiączka robią się od przodu biorąc w końcach po 30 o. i przerabiając je 42 razy, po skończeniu łączą się z plecami. Kaftan z boków najlepiej złączyć od spodu obrobieniem rzędu szydełkowych o. śc. podwójną nitką. Z brzegów dodane są ząbki szydełkowe, odrobione podług ryc. 9.

N. 10—11. Stołeczek pod nogi. Haft na materyale zwanym buret.

Środek stołeczka zajmuje pas (28 cent. długia 15 szeroki), popielatego burettu na którym włóczką crewel wyszyty jest deseń załączony w naturalnej wielkości na ryc. 11, w którym zastosowany jest ścieg płaski, łańcuszkowy i sznureczkowy.

N. 12—13. Dwa przybrania sukien.

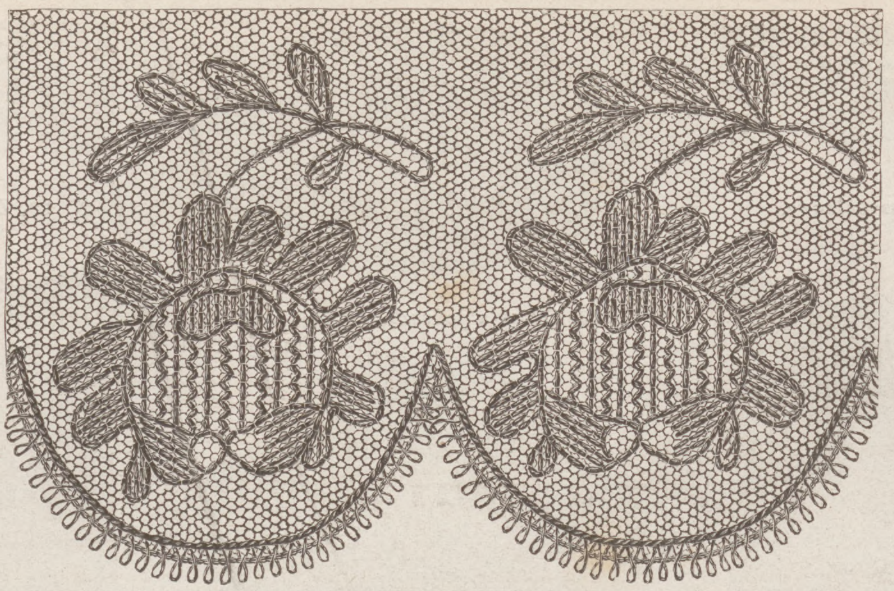
Przybrania takie dadzą się zastosować zarówno do sukien jak i do spódnic. Układ falbanek i plis objaśniają ryciny.



N. 29. Wskazanie kroju sukni ryc. 27—28.

N. 14 — 17. Dwie gwiazdki na poduszeczki toaletowe, serwetki i t. p. Tasiemeczka w ząbki, tasiemeczka niciana, torsadka i ścieg koronkowy.

Ażeby gwiazdki wykończone były z całą akuratnością najlepiej tasiemeczkę i torsadkę fastrygować podług desenia narysowanego na papierze lub płótnie woskowanem, podszytem ceratą. Rycina 15 przedstawia gwiazdkę z tasiemeczki w ząbki, spajaną ściegiem koronkowym a na ryc. 14 podaliśmy część tla gwiazdki w naturalnej wielkości. Inny wzór gwiazdy odrobiony z torsadki, tasiemeczki w ząbki i maleńkich kwadracików płóciennych podaje ryc. 16—17. Nie wymaga ona żadnych objaśnień tylko dużej akuratności przy spajaniu.



N. 21. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 23—24. Krótki paletot do kostiumu podróżnego lub rannego ubrania. Patrz ryc. 25—27.



N. 22. Kwadracik z siatki gipiurowej.

N. 18. Ubranie małego dziecka.

Niebieska wełniana sukienka przysłonięta jest prawie bluzkowym fartuszkiem z białego batystu, który w górze przy wykroju szyi zapięty na guziczki, poniżej stanu związany jest szarfą z kolorowej wstążki.

N. 19. Sukieneczka princesse dla dziewczynki lat 5—7.

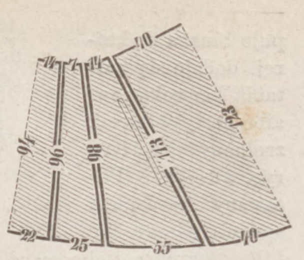


N. 27. Suknia podróżna. Patrz ryc. 23—29.

Krój sukieneczki znajdzie się w dawniejszych N-rach; za materyał służy kreton, batyst lub lekki wyrób wełniany; przybranie stanowią falbaneczki plisowane i pliski ciemniejsze lub aksamitka. Guziczki z konchy perłowej. Na szwach bocznych wpuszczone są końce szarfy związanej z tyłu.

N. 20. Ubranie domowe dla młodej mężatki.

Gładka suknia princesse z ciemnego kaszmiru zapięta wzdłuż przodu na guziki, pod szyją wycięta kwadratowo i dopełniona szmizetką batystową lub webową. Szeroki galon jedwabny i także frendzla służy do odznaczenia przez naszycie kaftanika otwartego z przodu. Kokardy przyszyte w miejscach wskazanych na ryc. 20 dopełniają przybrania.



N. 26. Wskazanie kroju tuniki ryc. 25.



N. 30. Szal perski.

N. 21. Ubranie młodej panienki.

Składa się ze spódnicy odszytej z materyału gładkiego zakończonej plisowaniem 12 cent. szerokiem. Bluzka, długa tunika i szarfa są z materyału w paski; krój bluzki znajdą czytelniczki w przeszłych Nrach Tygodnika, przody są przemarszczone na ramionach i po nad stanem jak to wskazuje ryc. 21. Plecy skrajane bez karczka są na środku przymarszczone odpowiednio do przodów. Podłużny wykrój szyi ogarnirowany riuszą muślinową. Tunika ma naśladowane od góry zapięcie na guziki, od dołu przemarszczona jest wzdłuż cztery razy i przepięta kokardami.

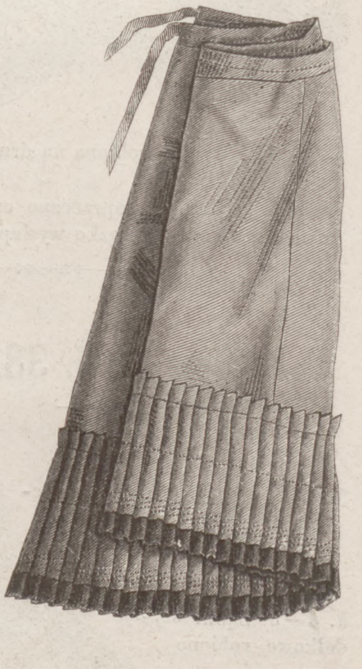


N. 25. Tunika do kostiumu podróżnego lub rannego ubrania. Patrz ryc. 23—27.

N. 22. Opis przy ryc. 16 w N-rze 37.

N. 23. Sukieneczka dla dziewczynki lat 7—9.

Vêtement formą princesse przykrajać można podług formy sukienki princesse tylko krócej od dołu i zręcznie podpiąć z tyłu. Vêtement podane na ryc. 23 odszyte z niebieskiego materyału, zapinane z tyłu, z przodu wycięte kwadratowo. Brzeg dolny wycięty w zęby, objęte pliską jedwabną; dół sukienki zdobi szerokie plisowanie.



N. 28. Suknia podróżna. Patrz ryc. 23—27.

(Dokończenie nastąpi).